
Wstęp do nr 1. – listopad 1993 r.

Drodzy Czytelnicy!

Przekazujemy Wam pierwszy numer naszego biuletynu. Naszego – ponieważ ma w swej treści i klimacie nawiązywać do PODOLA, jego historii, kultury, ludzi, pejzażu i tego wszystkiego co składało się na nasze tam bytowanie od pokoleń. A także do naszych osobistych przeżyć i wspomnień, tych najśnieźniejszych ale i tych bardziej mrocznych, tragicznych. Również do problemów i potrzeb Polaków znajdujących się tam nadal. Stąd tytuł pisma “Głosy Podolan”.

Ci, którzy już odeszli, których prochy kryje nie tylko tamta ziemia, pozostawili nam testament – obowiązek pamiętania, dokumentowania, przekazywania. Niechaj więc będzie to nasza cegiełka w budowaniu POMNIKA PAMIĘCI o przeszłości naszych ojców i dziadów, a także naszej własnej przeszłości na rodzinnej ziemi podolskiej. Pragniemy by biuletyn, oprócz funkcji informacyjno-dydaktycznej w szerokim znaczeniu tego słowa, pełnił także rolę organizującą i integrującą środowisko. Wiek, zmęczenie życiem, trudności ekonomiczne i uciążliwość podróżowania powodują ograniczenie kontaktów osobistych. Toteż biuletyn mógłby stanowić jedną z form kontaktu między Podolanami w Kraju i poza nim. Mija pół wieku odkąd rodzinna ziemia pozostała poza granicami Polski. Wywieźliśmy z naszych domów w czasie przymusowego wysiedlenia (obłudnie nazwanego „repatriacją”) wiele cennych okruczeń. Fotografie, listy, pamiętniki, opracowania, dokumenty... Zbieraliśmy także później wszystko, co mówiło o tamtym życiu i krajobrazie. Zbieraliśmy m. in. po to, aby nie tęsknić tak rozpaczliwie, aby się nam Czortków, Tarnopol, Buczacz, Zbaraż, Zaleszczyki... nie śniły tylko po nocach. Pozbawieni fizycznych korzeni i popiołów, zmuszeni zostaliśmy głuszyć nostalgię wspomnieniami i dobrami zastępczymi, to jest każdą rzeczą związaną z tamtym naszym miejscem na ziemi, przywiezioną, lub zdobytą później z wielkiej potrzeby serca. Wszystkie te dobra, nawet tak ulotne jak melo-

dia piosenki, są odbiciem tamtego czasu i magicznym wyzwaczem pamięci. Czas zniemacka atakuje ludzi i nie jest łaskawy dla tych drogich pamiątek, gromadzonych w domowych szufladach i zakamarkach umysłu. I nagle okazuje się, że na wszystko jest za późno, bo nie ma już kogo zapytać...

Dlatego zbierajmy, gromadźmy skrzętnie nasze wspomnienia i relacje zasłyszane od innych, zapisujemy i przekazujemy "Głosem Podolan". OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA – to idea stara jak świadomość ludzka, że wszystko przemija. Pozostańmy jej wierni! Podjęliśmy się trudnego zadania. Jednak zespół redakcyjny zdecydowany jest zainwestować swój czas, swoje zaangażowanie i siły, aby zadaniu podołać. Prosimy Was o współudział, tj. o nadsyłanie materiałów, fotografii, uzupełnień, uwag, propozycji itp. Prosimy także o pomoc w rozpropagowaniu biuletynu, aby dotarł do jak największej liczby Podolan i sympatyków. Kończymy apel wierszem lwowskiego poety Mariana Hemara, wciąż aktualnego, choć pisanego przed laty:

*.... lecz jedna rzecz mi przeszkadza,
zawadza i żyć nie daje:
miło do kraju, który
jest moim własnym krajem.
Miło do miasta, które
jest moim jedynym miastem,
choć odgradzone ode mnie
ogrodzeniem kolczastym,
strażą, granicą, murem...*

Niniejszy wstęp jest fragmentem oryginalnego wstępu z nr 1 „Głosów” z 1993 roku. Jego autorką jest p. Irena Kotowicz.

Igor Megger
Poznań

Jak powstają „Głosy Podolan”?

Każdy numer jubileuszowy (nie tylko naszego czasopisma), jest okazją do pewnych podsumowań, przybliżania składu czy pracy redakcji. Pragnę w kilkunastu zdaniach zapoznać Państwa jak wygląda praca redakcji od strony technicznej.

Przez pierwsze 17 numerów „Głosy” były przepisywane na maszynie m.in. przez p. Irenę Kotowicz i powielane. Okładkę numeru pierwszego zaprojektował p. Zygmunt Złoczański. Wielką zmianą było dojsście w skład redakcji p. Jerzego Stopy - warszawianka z Tarnopola, który do numeru 147 a więc ponad 20 lat przepisywał na komputerze tekst, często z rękopisów, starych maszynopisów itd. P. Stopa zajmował się też częściowo składem i łamaniem. Drukiem zajmowały się Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej oraz Warszawski Zakład Wydawnictw Statystycznych. W kwietniu 2018 roku wydarzyła się dla redakcji katastrofa którą to opisała p. redaktor w numerze 148 - z prac w redakcji zrezygnowali p. Wiesław Barczyk i co szczególnie bolesne p. Jerzy Stopa. Odejście Pańców z redakcji spowodowało właściwie zawieszenie redakcji i wydawania czasopisma na okres blisko dwóch lat.

Kiedyś bodajże w październiku 2019 roku przy rozmowie z p. Kotowicz jako kilkuletni prenumeratorem czasopisma spytałem, co dalej z „Głosami” i zaproponowałem swoją pomoc w przepisywaniu - okazało się, że już wcześniej kilka osób tego się podejmowało, ale żadna z tych osób nie okazała się osobą poważną - szybko się wycofywali. P. Irenie bardzo zależało, by wydać zaległe numery za rok 2018 (4 egz.), gdyż już prenumeratorem za nie zapłacili – więc je obecnie realizujemy. Numer, który właśnie Państwo trzymają w ręku, jest trzecim, który to „jak feniks z popiołów” ukazał się po przerwie.

Obecnie okres pomiędzy otrzymaniem przez Państwa biuletynu wynosi 3-4 miesiące, a wygląda to następująco: p. Redaktor Irena

przesyła do mnie pocztą tradycyjną część materiałów w maszynopi-
sach oraz rękopisach - to wszystko należy przepisać na komputerze.
Dodaję także zdjęcia i teksty zebrane przeze mnie oraz nadesłane
przez inne osoby, oczywiście po akceptacji p. Redaktor. Drogą
elektroniczną przesyłam do p. Hani Dobias-Telesińskiej z Poznania
(red. Biuletynu poznańskiego oddziału TML) do poprawek. Po
otrzymaniu ponownym drukuję i wysyłam pocztą tradycyjną do p.
Ireny celem akceptacji i ostatnich uwag - która to „pokreślony” ma-
teriał odsyła mi pocztą tradycyjną. Po naniesieniu poprawek i łama-
niu, którego dokonuję osobiście (co powoduje wielką oszczędność
pieniędzy) wysyłam drogą elektroniczną w formacie PDF do p. Ce-
zarego Żyromskiego z wrocławskiego „Oddziału Buczaczan”. Czę-
sto zdarza się, że p. Cezary jako wieloletni dziennikarz wyłapuje
pomyłki i błędy, co wymaga poprawek. P. Cezary przekazuje na-
stępnie w formie elektronicznej do drukarni - o nazwie drukarnia-
osiedlowa.pl we Wrocławiu materiał do druku. Po wpłacie środków
na konto numer jest drukowany. Często w tych pracach p. Cezare-
mu pomaga p. Robert Szczerkowski. Obaj panowie zajmują się dys-
trybucją „Głosów” we Wrocławiu, piszący te słowa natomiast kol-
portuje w Poznaniu oraz przekazuje w wersji elektronicznej do
Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej. Pozostałe numery pocztą ku-
rierską wysyłane są do Warszawy, gdzie p. Irena rozsyła je do po-
zostałych prenumeratorów. Po rozesłaniu przesyła do mnie materia-
ły do następnego numeru - i tak koło się toczy... Do tego należy
dodać wiek niektórych członków redakcji, choroby, inne sprawy
prywatne - każdy dzień wydłuża proces, ale nie poddajemy się,
działamy dalej.

Największym problemem technicznym jest to, że nie wszyscy
biorący udział w pracach potrafią obsługiwać komputer, co znacz-
nie wydłuża czas pracy. Drugim ważnym kłopotem jest problem z
materiałami - nie chcemy pisać na tematy „oklepane”, wznawiać
starych artykułów. „Głosy” stały zawsze na wysokim poziomie me-
rytorycznym i niech tak zostanie. Dlatego ponownie zwracamy się
do Państwa o nadsyłanie materiałów. Zachęcamy także Państwa do

przesyłania informacji o swoich oddziałach/stowarzyszeniach - z chęcią takie informacje także zamieścimy.

Przepraszamy za wszelkie pomyłki, błędy, które to mimo gęstego sita korektorów czasem się trafiają. Przypomina mi się zawsze w takich momentach anegdota Melchiora Wańkowicza. Był on przed wojną współwłaścicielem i redaktorem wydawnictwa „Rój”. Jeden z tekstów był sprawdzany kilkanaście razy. Na koniec M. Wańkowicz ogłosił, że przekaże dużą kwotę (bodajże 100 zł przedwojennych) temu, kto odnajdzie błąd - wszyscy szukali, szukali - nikt nic nie znalazł. Okazało się, że błąd był w tytule!

Informujemy także, że wszystkie numery „Głosów” są dostępne bezpłatnie na stronie internetowej Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej: www.wbc.poznan.pl Odnaleźć je można poprzez wpisanie naszego tytułu w wyszukiwarce na stronie lub odszukać w zakładce „czasopisma i gazety”. W razie trudności pomocy udzielią chętnie pracownicy biblioteki pod numerami telefonów - (61) 854-31-49 oraz (61) 854-31-41. Komunikaty nt. nowych numerów „Głosów” ukazują się także na stronie poznańskiego oddziału TML - www.lwowiacy.pl



Wieloletni skład redakcji „Głosów”, od lewej: Ś.P. Antoni Gołębiowski, Irena Kotowicz, Jerzy Stopa, Wiesław Barczyk

Stanisław Bogumilski
Poznań

Moja droga

Cz. 1

Rozdział I

Rodzinny dom. Rodzinny dom w różnych opisach czy w piórze posiada zazwyczaj dużo miłych i radosnych wspomnień. Mój dom rodzinny będzie natomiast zupełnie odmienny – niecodzienny. Przyszedłem na świat w 1908 r. jako siódme dziecko ojca i szóste dziecko matki. Najstarsza siostra Maria była moją siostrą przyrodnią a zarazem moją matką chrzestną. Pamiętam tę siostrę jedynie z tego, że jako kilkuletnie dziecko gościłem u niej z moją matką w święta Bożego Narodzenia, zachwycając się piękną, świecąca choinką. Siostra Maria wyszła za mąż za technika budowlanego zmarłego kilka lat przed moim urodzeniem. Zmarły mąż pozostawił jej trzy córki i syna. Opiekę nad dziećmi siostry Marii sprawował przez długi okres, mój ojciec. Miałem lat 7, jak siostra Maria zmarła w czasie epidemii cholery w roku 1915. Jej dzieci częściowo się usamodzielniały a częściowo opiekę nad nimi przejęła rodzina. Najstarszy mój rodzony brat Karol cierpiał na niedorozwój umysłowy na skutek upadku z konia w dzieciństwie. Druga z kolei po nim była siostra Anna. Trzecią była siostra Zofia. Czwartym był brat Janek, który był bardzo zdolnym dzieckiem lecz niestety zmarł w ósmym roku życia na zapalenie płuc. Piątym był brat Marian, który w czwartym roku życia zmarł na krzywicę. A ja oczywiście byłem najmłodszym, urodzonym w 59 roku życia mojego ojca i w 42 roku życia matki. Rodzina moja mieszkała na Lwowskim Przedmieściu miasteczka powiatowego – Kamionka Strumiłowa – w województwie tarnopolskim. Żyliśmy z 2,5 ha ziemi oraz doraźnej sprzedaży płodów rolnych. Wegetacja rodziny była bardzo mizerna. Do roku 1914 sytuacja materialna była znośna, gdyż ojciec dokupił 1 ha gruntu, miał dość sił, by utrzymać dwa konie i od czasu do czasu zarobić trochę gotówki przygodnym furmanieniem.

W czasie I wojny światowej, siły ojca zaczęły opuszczać lecz w tym czasie był duży brak rąk do pracy i siostra Anna pomagała rodzinie pracując jako robotnica przy torach kolejowych. Wobec takich okoliczności moje dzieciństwo do dziesiątego roku życia nie doznało specjalnie głodu. Mieszkaliśmy wszyscy w jednej, ciemnej izbie o jednym okienku wychodzącym akuratnie na rozłożystą gruszę, która latem zasłaniała je całkowicie. Izba miała zaledwie 20 m.kw. i wysokość do sufitu 1,90 m. Chowałem się tak jak wielu wówczas moich rówieśników. Obok izby była mała sień z klepiskiem, z której wychodziło się do ciemnej pakamery a potem do obory i chlewika. Na podwórzu leżał prawie przez cały rok nawóz usuwany sporadycznie spod koni i świnek. Jak każde dziecko byłem beztróskim chłopcem. Uważałem, że to jest najlepsze dzieciństwo pod słońcem, śmiałem się i płakałem stosownie do okoliczności. Nauka w szkole powszechnej szła mi bez trudności. Nikt mi w nauce nie pomagał, bo nie było komu. Ojciec jakimś cudem nauczył się czytać i w wolnych chwilach studiował posiadaną biblię, umiał jedynie podpisać się, gdyż nigdy nie chodził do szkoły a matka była analfabatką. Siostra Anna skończyła cztery klasy szkoły podstawowej a siostra Zofia tylko dwie klasy tejże szkoły. Musiałem polegać na sobie. W czwartej klasie tj. w dziesiątym roku życia zaskoczyła mnie wojna polsko - ukraińska. Trzeba było przerwać naukę. Wprawdzie została otwarta szkoła z językiem ukraińskim i byłem nawet na jednej lekcji lecz zraziło mnie to, że nauczyciel Polak Wteczyński prowadził tę naukę w języku ukraińskim. I ciekawa rzecz, mieszkałem między Rusinami i rozmawiałem od dzieciństwa po rusińsku – a nie poszedłem więcej do tej szkoły. Okazało się, że religia rzymskokatolicka i kościół były silniejszymi dla mnie więzami niż język. Język ten był dla nas niejako językiem na co dzień, roboczym /ulica, sąsiedzi, sklep/ jak stare ubranie. Językiem odświętnym, wyższym – był dla nas język polski, którym posługiwaliśmy się w rozmowach między Polakami, w kościele i w szkole. Zastanawiałem się nieraz, będąc dojrzałym człowiekiem, dlaczego posługiwaliśmy się językiem obcym. Otóż doszedłem do wniosku,

że mieszkaliśmy jak na wysepce wśród morza Rusinów i to w samym środku przedmieścia.



Kamionka Strumiłowa w latach 20. XX wieku

Krąg zainteresowań moich rodziców ograniczał się wyłącznie do sąsiadów. Dwóch moich szwagrów było Rusinami. Obok mieszkała tylko jedna polska rodzina Turzańskich, która była w takiej samej sytuacji jak my. Jeśli chodzi o mnie, to chowałem się wśród dzieci rusińskich, natomiast Ignąłem sercem do kolegów Polaków w szkole, z którymi się przyjaźniłem. Ciekawą rzeczą był fakt, że mój rówieśnik Janek Turzański – Polak, ukończył zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej, ożenił się z Rusinką i poświęcił się pracy na roli. Ja wybrałem długą i trudną drogę, która zakończyła się uzyskaniem dyplomu uniwersyteckiego. Po studiach ożeniłem się z Polką. Na ukształtowanie mojego kierunku mógł wpłynąć fakt, że przed ucieczką Ukraińców z Kamionki Str., mając 11 lat, przeżyłem wstrząs. Otóż miejscowi Ukraińcy chcąc zrujnować ojca, który podkreślał, że jest Polakiem, postanowili zabrać ojcu konie z wo-

zem do ewakuacji swoich magazynów wojskowych. Pamiętam jak przyszło do nas sześciu ukraińskich żołnierzy i zażądali, aby ojciec pojechał na podwozy. Dziś wiem, że ojciec z tej eskapady by już nie wrócił. Wówczas ojciec stanowczo odmówił motywując tym, że konie są mizerne i młode i nie nadają się do przewożenia ciężarów. W międzyczasie matka, Anna i ja zamknęliśmy w stajni konie z wozem. Gdy to się działo był maj 1919 roku. Wobec takiej postawy ojca żołnierze ukraińscy rzucili się na niego, obalili na ziemię i zadali kilka ciosów kolbami karabinów. Potem rozbili drzwi do stajni i wywlekli wóz i konie a następnie wsadzili obolałego ojca na wóz i pod bagnetami ruszyli w stronę ukraińskiej komendy miasta. Na wóz wskoczyłem ja i moja siostra Anna. Opuszczając podwórze ojciec krzyknął po polsku: „Boże czy ciebie nie ma”. Po tym okrzyku ojciec otrzymał jeszcze parę kolb po plecach. Po przyjeździe do komendantury, ojca poprowadzono pod bagnetami do środka, siostra poszła za nim a ja stwierdziwszy, że nikogo obok nie ma, zaciąłem konie batem i uciekłem z nimi daleko za miasto, na pastwiska, gdzie wyprzęgnąłem je z wozu i puściłem luzem. O zmierzchu przyjechałem do domu gdzie zastałem ojca i siostrę zadowolonych z odniesionego zwycięstwa. Okazało się, że komendantura już uciekła i nie było z kim mówić. Gdy żołnierze zobaczyli, że nie ma ani koni ani wozu również uciekli a dbając o własną skórę, puścili ojca wolno. Od zachodu słychać było wystrzały armii Hallera, która nacierała na Kamionkę. Tego wieczoru mieliśmy spokój. Cała nasza rodzina z bijącym sercem oczekiwała przez całą noc na pierwsze oddziały polskie. Ukazały się one dopiero na drugi dzień po południu w pięknych błękitnych mundurach. To był pierwszy mój przełom w życiu albowiem stałem się niejako dojrzały i poczułem się całkowicie Polakiem.

Zapisałem się zaraz do szkoły i ukończyłem wreszcie 4 klasy szkoły powszechnej. Dostałem nawet najlepsze świadectwo z dotychczasowych. Z kolegami postanowiłem zdać egzamin do gimnazjum. Po krótkim przygotowaniu egzamin ten niezwłocznie zdałem. W dużym stopniu ułatwiła mi ten krok matka, która postarała się o zapłacenie lekcji przygotowawczych do egzaminu wstępnego. Był

to dla mnie wielki i radosny dzień w życiu, kiedy przypiąłem sobie z dumą – jeden srebrny pasek na kołnierzu bluzki. I to się działo w czerwcu 1920 roku. Nie zdawałem sobie sprawy z grozy sytuacji w jakiej znalazło się nasze młode państwo. W miesiącu lipcu przez miasteczko przemieszczały się wojska polskie. W naszej ciasnej izbie i stajni nocowali żołnierze zdążający na front. Co rusz zmieniali się inni. Ja nauczyłem się od nich polskich piosenek żołnierskich. Żyłem nimi i rosnącą Polską.

Też widziałem armię Budionnego idącą forsownym marszem na Lwów w pamiętnych dniach sierpnia 1920 r. Nie zapomnę też odwrotu obdartych i głodnych rozbitków armii Abrahama, którzy boso uciekali bocznymi uliczkami przed przeważającymi siłami bolszewickimi. Szła ta armia cały dzień przez moje miasteczko. Żołnierze szli i jechali furmankami, byle jak odziani i byle jak uzbrojeni. Była to zwyczajna armia rewolucyjna. Jako młody chłopiec nie zachwyciłem się tą armią, przeciwnie była ona dla mnie obca i niepożądana.

*Cezary Żyromski, Zbigniew Żyromski
Wrocław*

Historia Matki Boskiej Bolesnej z Monasterzysk

Parafia w Monasterzyskach na Podolu w powiecie buczackim powstała prawdopodobnie w XV wieku pod wezwaniem Najświętszej Panny Marii. Najpierw był tu kościół drewniany, który padł ofiarą pożaru, potem starosta szczerzecki i kasztelan lwowski Józef Potocki, mecenas wielu budowli sakralnych na całym Podolu, wystawił kościół murowany w stylu późnego gotyku. Został on konsekrowany w 1751 roku pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Boskiej.

Na początku XVIII wieku właścicielami wsi Dobrowody, odległej 7 kilometrów od Monasterzysk w kierunku na Podhajce, byli Stęgwilscy. Mieli oni stary obraz Matki Boskiej Bolesnej, który w roku 1738 ofiarowali Andrzejowi Jaworskiemu pełniącemu u

nich obowiązki sługi. Służąca Stęgwilskich Agnieszka Górka spostrzegła, że twarz Matki Boskiej przybiera różne wyrazy i zmienia się – raz jest smutna, raz pogodna. Również Jaworscy 1 marca 1742 roku zauważyli, że obraz począł się pocić krwawymi łzami. Pomimo kilkakrotnego obmycia, krwawy pot występował ponownie, o czym Jaworski powiadomił proboszcza Monasterzysk ks. Franciszka Kielarskiego.



Matka Boska z Monasterzysk do 1945 r. (z lewej) i obecnie

Z polecenia Ignacego Mikołaja z Wyżyc Wyżyckiego, arcybiskupa metropolity lwowskiego, 3 czerwca 1742 roku wysłano komisję dla zbadania prawdy o obrazie Najświętszej Panny Marii Bolesnej. Przed zaprzysiężoną komisją złożyli zeznania następujący świadkowie: Andrzej Jaworski, Antonius Jezierski, Josephus Krasieński, Andres Zielonka, Agnes Górka, Michael Pohorecki, Simon Karpiński. Badania odbywały się w Monasterzyskach 3 lipca 1742 roku, zaś 7 lipca w Dunajowie komisja rozpoczęła u biskupa pisanie sprawozdania. 11 lipca sprawozdanie zakończono i wydano dekret biskupi w obecności proboszcza z Monasterzysk Franciszka Kielar-

skiego. Po wysłuchaniu relacji z przeprowadzonego procesu, arcybiskup Wyżycki polecił przenieść obraz do kościoła parafialnego w Monasterzyskach.

Wprowadzenie obrazu nastąpiło 14 sierpnia 1742 roku podczas tłumnej procesji, przy biciu dzwonów i dźwięku tręb wojskowych, najpierw do cerkwi greckokatolickiej, a potem do kościoła parafialnego. Uroczystości odbyły się z udziałem w pełnym składzie Zgromadzenia Zakonnego Świętej Trójcy z Uścia Zielonego pod przewodnictwem przeora Kaliksta Kielarskiego z Niżniowa. Obecny był również proboszcz horożański Maciej Nawrocki.

Przed tymi uroczystościami obraz został uczczony panegirycznym – elegią napisaną przez Gerarda Jurczyńskiego, lektora świętej teologii z zakonu św. Pawła Pierwszego Eremity.

15 sierpnia 1742 roku odbyły się uroczyste nieszpory z wystawieniem Najświętszego Sakramentu odprawione przez ojca Hiacynta Sławskiego z zakonu Paulinów i z kazaniem wygłoszonym przez ojca Gutkowskiego z zakonu Jezuitów. Po kazaniu przeszła procesja przy dźwiękach tręb wojskowych.

Podczas drugich nieszporów wierni wysłuchali kazania kanonika Jana Widuckiego – proboszcza parafii w Petlikowcach, który podczas procesji zaintonował „Te Deum laudamus”.

W późniejszych latach nadal spisywano cuda, które zdarzyły się za sprawą Matki Boskiej Bolesnej:

14 września 1742 roku Marianna Markiewiczowa, służąca u pani Gostyńskiej z Uścia, przyniosła konające dziecko i krzyknęła: „Najświętsza Matko Monasterzyska, przez boleści Twoje proszę Cię, nie odbieraj mi dziecięcia mego”. Dziecko natychmiast ocknęło się i ozdrowiało.

2 czerwca 1743 roku pewien szlachcic złożył oświadczenie, że mając ciężko skaleczoną rękę, która mu uschła, ofiarował się Matce Boskiej i nadspodziewanie wyzdrowiał.

4 czerwca tegoż roku panna Marianna Pawłowska z majątku Hołhocze oświadczyła, że śmiertelnie chora ofiarowała się Matce Najświętszej i cudownie wyzdrowiała.

Tego roku Mikołaj Żeromski, mieszkaniec Monasterzysk, będąc śmiertelnie chory, ofiarował się Najświętszej i został uwolniony od choroby, co zaświadczył złożeniem wotów.

30 listopada 1746 roku Jan Bobrowski ze wsi Wolica wraz z żoną złożył zeznanie, że z łaski Najświętszej Panny Bolesnej ich konający syn wyzdrowiał.

21 listopada 1749 roku Elżbieta z Potoka, siostra Józefa Potockiego, dziedzica dóbr monasterzyskich, ofiarowała chorą żenicę Najświętszej Pannie Bolesnej podczas odprawianej przy jej ołtarzu ofiarnej mszy świętej. Skutkiem tego wyzdrowiała, a następnie zawiesiła z tej okazji na ołtarzu w podzięce srebrną tabliczkę z napisem: „Strzeż mnie jak żrenicy oka”.

Od 1750 roku zaprzestano prowadzenia księgi cudów, natomiast na dowód licznych uzdrowień zawieszano w kościele wota ofiarne. Wkrótce obraz Matki Boskiej otrzymał srebrną sukienkę.

W 1787 roku, w czasie zaborów, rząd austriacki nakazał przekazać prawie wszystkie wota i sukienki srebrne z obrazów, pozostawiając zaledwie dwa lub trzy wota.

W miejsce sukienki srebrnej ks. Brykowski zafundował sukienkę miedzianą. W roku 1892 ze składek parafian odnowiono bardzo zaniedbany już obraz Matki Boskiej Bolesnej, a starą sukienkę, połamaną i podziurawioną, zastąpiono nową wyzlacaną i założono koronę, o czym donosił 1 czerwca ks. Józef Czarkowski, cooperador w Monasterzyskach.

Aby rozszerzyć kult Najświętszej Matki Bolesnej, ks. Stanisław Tempniński, wikary parafialny, zebrał wiadomości o cudownym obrazie i za zgodą władz duchownych ogłosił drukiem 20 lutego 1896 roku broszurę pt. „Krótka wiadomość o cudownym obrazie Najświętszej Matki Bolesnej w kościele parafialnym obrządku łańcierskiego w Monasterzyskach”.

W związku z ekspatriacją ludności polskiej z Kresów, 30 listopada 1945 roku kościół został zamknięty, zaś obraz Matki Boskiej Bolesnej wraz z innymi przedmiotami parafialnymi ukryto wśród wyjeżdżających ludzi. Okazało się jednak, że władze radzieckie nie chciały dopuścić do wywiezienia wizerunku nazwane-

go przez nie „złotym obrazem”. Z rampy w Dżurynie milicja radziecka wraz z miejscowymi Ukraińcami zabrała proboszcza ks. Antoniego Jońca oraz wikarego ks. Józefa Maciaszka wraz z bagażami i przewiozła z powrotem do kościoła w Monasterzyskach. Po przeprowadzeniu szczegółowej rewizji i przyjęciu wyjaśnień nie znaleziono poszukiwanego obrazu, wobec czego na drugi dzień obu duchownych odwieziono z powrotem na rampę w Dżurynie.

Ksiądz Antoni Joniec dojechał z obrazem do Łańcuta i umieścił go w kaplicy Potockich. Gdy bratanek ks. A. Jońca, ks. Kazimierz Joniec (wikary w Monasterzyskach w latach 1933–1935), w roku 1950 został proboszczem w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Bogdanowicach koło Głubczyc na Opolszczyźnie, otrzymał przyrzeczenie swego stryja, że jeśli odbuduje kościół, zniszczony w 1945 roku w wyniku działań wojennych, otrzyma ten obraz.

Proboszcz ks. Antoni Joniec zmarł 1 czerwca 1952 roku, natomiast kościół w Bogdanowicach odbudowano w latach 1950–1953 staraniem ks. Kazimierza Jońca. Zgodnie z przyrzeczeniem, obraz Matki Boskiej Bolesnej, dwa obrazy: Archaniola Michała oraz Piotra i Pawła, a także monstrancja zostały przekazane do Bogdanowic.

Staraniem późniejszego proboszcza w Bogdanowicach, ks. Adama Szubki, w roku 1984 obraz został poddany zabiegom konserwatorskim przez ks. Edwarda Kucharza. W trakcie prac renowacyjnych okazało się, że wyłaczana sukienka jest w bardzo złym stanie i nie nadaje się do założenia na postać Matki Boskiej. Założono jedynie starą koronę, zaś sam obraz przybrał kształt prostokąta i oprawiony został w nową, pozłacaną ramę.

W roku jubileuszowym chrześcijaństwa 2000 kościół w Bogdanowicach został wyznaczony jako Kościół Jubileuszowy, w którym wierni mogą uzyskać odpust zupełny.

Rok 2003 władze kościelne ogłosiły rokiem jubileuszu w kościele w Bogdanowicach z okazji 50-lecia pobytu obrazu. Jest on tu czczony jako obraz Matki Boskiej Łaskawej, łaskami słynący.

Co roku, początkowo w połowie września, a obecnie w maju, gdy proboszczem jest już ks. Jerzy Chyłek, przyjeżdżają do Bogdanowic pielgrzymi – byli mieszkańcy Monasterzysk, czciciele Matki Boskiej Bolesnej.

Igor Megger
Poznań

Akcje likwidacyjne Kedywu AK obwodu „Czortków” w latach 1941-1945

Tło historyczne - Czortków: do 1939 miasto powiatowe woj. tarnopolskiego, drugie pod względem ludności (ok. 25-30 tysięcy mieszkańców w 1939 roku). Oddziały niemieckie wkroczyły do Czortkowa na początku lipca 1941 roku. Przez pierwszy miesiąc władze w mieście „de facto” pełnili Ukraińcy- którzy to dokonywali aresztowań a nawet wykonywali wyroki śmierci na polskich patriotach. 1 sierpnia 1941 roku Niemcy ogłosili utworzenie dystryktu „Galizien” oraz włączenie tych ziem do Generalnego Gubernatorstwa. Czortków został miastem garnizonowym, w którym stacjonowała także żandarmeria tzw. Orpo¹ (ul. Boczna 6), utworzono w nim urząd terenowy Sipo², oraz SD³ oraz dyrekcje policji kryminalnej tzw. Kripo (narożnik ulic Sadowskiego i Zielonej). Do 1943 w Czortkowie mieściła się także ekspozytura komendy wojskowej. Prócz tego znajdowała się tam także przez jakiś czas siedziba żandarmerii ukraińskiej i szkoła policyjna (wrzesień 41- sierpień 42).

Dla Żydów, którzy to w 1931 roku stanowili ok. 25-30 % procent mieszkańców Czortkowa, utworzono w lipcu 1942 roku w rejonie miejskiego bazaru Getto- w ciągu roku przez nie przewinęło się około 13 tysięcy ludzi. Getto zostało zlikwidowane w nocy z 15 na 16 czerwca 1943 gdzie zlikwidowano 1211 Żydów. Komendan-

¹ Od Ordnungspolizei- Policja Porządkowa

² Sipo- właściwie Sicherheitspolizei- połączone siły Gestapo i Kripo.

³ SD- Sicherheitsdienst- wywiad i kontrwywiad SS

tem tego Getta był Paul Thomanek⁴ oraz Richard Paal⁵. Do końca lipca 1943 zlikwidowano wszystkich czortowskich Żydów (we wrześniu 1942 ich liczba w powiecie wynosiła ok. 30 tysięcy osób), a miasto ogłoszono „Juden-Frei”- wolne od Żydów. Polacy byli masowo wysyłani na roboty do Niemiec (do sierpnia 1942 wywieziono ponad 2000 Polaków). Nieopodal hotelu „Bristol” utworzono obóz pracy dla Polaków i Żydów. Do marca 1943 ludność powiatu zmniejszyła się o około 38 tysięcy ludzi głównie o Polaków i Żydów.

AK w Czortkowie - Wobec tych działań Niemców (którzy to w powiecie stanowili w 1942 roku niecałe 2 tysiące), zawiązano komórkę ZWZ-AK. Próby takie były już podejmowane za okupacji sowieckiej, jednak faktyczne dzieje obszaru lwowskiego rozpoczynają się 20.9.1941 roku kiedy to komendantem został gen. Kazimierz Sawicki ps. „Pрут”. Obszar „Lwów” składał się z czterech okręgów : Lwów, Tarnopol, Stanisławów oraz Wołyń. Okręg „Tarnopol” kierowany przez płk. Franciszka Studzińskiego dzielił się na cztery inspektoraty Tarnopol, Czortków, Złoczów i Brzeżany. Inspektoraty były pośrednimi szczeblami dowodzenia kilkoma obwodami które to pokrywały się terytorialnie z powiatami. Najmniejszą jednostkę operacyjną miał stanowić pluton składający się z 3 drużyn, każda posiadająca 3 sekcje po 5 żołnierzy. Okręg Tarnopol był powszechnie uważany za najlepszy w obszarze Lwowskim. Liczny był w nim Kedyw (Kierownictwo Dywersji) i Wojskowa Służba Kobiet (w inspektoracie Czortków ponad 200 osób).

Inspektoratowi AK „Czortków”(„Krzemień 47”) podlegały obwody: Czortków („Opal 48”), Kopyczyńce („Kobalt 49”), Buczacz („Granit 46”), Borszczów („Bazalt 50”) oraz Zaleszczyki („Porfir 51”). Komendantem inspektoratu przez cały czas był rotmistrz Bronisław Zawadzki ps. Wiktor Rogala (1900- zaginął w

⁴ Paul Thomanek- Urodzony w 1909 roku , Niemiec sudecki, noszący zawsze czarne rękawiczki , zawsze ironicznie uśmiechnięty i „szarmancki”. W 1960 roku skazany na dożywocie.

⁵ Richard Paal (Pal) był sądzony po wojnie w latach 70. -skazany na 25 lat, zmarł w trakcie odsiadki wyroku.

1944 r.). Inspektorat nie wziął udziału w akcji „Burza” w 1944 roku. Komendantem obwodu Czortkowskiego był por. Władysław Uruski (zm. 1967 w Opolu). W obwodzie działały cztery kompanie liczące łącznie ok. 350-400 osób, wraz z innymi jednostkami pomocniczymi wynosiło AK obwodu Czortkowskiego ok. 1000 osób.

Do działań najbardziej spektakularnych należały akcje likwidacyjne. Na terenie okręgu Tarnopolskiego największe działania odbyły się w obwodzie Czortków. Kedyw obwodu liczył 18 osób, a dowódcą jego był Stanisław Muszyński ps. „Vickers”. Członkowie Kedywu stanowili jakoby trzy grupy środowiskowe:

Pracownicy więzienia- 4 osoby- dostarczali grypsy, rozkręcali szyny, rozpracowywali gestapowców, pomagali więźniom.

Pracownicy Policji Kryminalnej-2 osoby- prowadzenie wywiadu, daktyloskopia, dostarczanie broni.

Osoby różnych zawodów- pozostali- sabotaż, dywersja, rusznikarstwo, akcje likwidacyjne.

Kedyw uznał że najgorszymi Niemcami których należałoby zlikwidować są: Johann von Iselt (szef Kripo w Czortkowie), Pekmann⁶(szef Gestapo) i zastępcy Pekmanna: Radke (bądź Ratke, Radhke), Grocholsky⁷, Kaminsky⁸, żandarm Schultz⁹ oraz opisany już wyżej Paul Thomanek. Gestapowcy z Czortkowa o nazwiskach Paal, Breitschbeider¹⁰ oraz Ruks¹¹ byli czasowo oddelegowani do likwidacji getta w Kopyczyńcach gdzie wykazali się strasznym

⁶ Pekmann błędnie podawany czasem przez dwa k, przeżył wojnę, w 1962 sądzony za zbrodnie na Żydach- uniewinniony przez sąd regionalny w Saarbrücken.

⁷ Grocholsky ukończył szkołę gestapo i SS w Dębicy. Biegły mówił po polsku. Średniego wzrostu, krępej budowy ciała, miał krzywe nogi. Niezwykle brutal. Swojego psa nazwał „Churchill”.

⁸ Kaminsky ukończył gestapowską szkołę w Dębicy i mówił po polsku. Wysoki blondyn o niebieskich oczach, przezywany był "niebieskookim aniołem śmierci". W swoim okrucieństwie był nadzwyczaj precyzyjny. Pochodził ze Stanisławowa.

⁹ Schultz- opasły, kulawy, bezwzględny dla Żydów.

¹⁰ „Zwyczajny morderca” Albert Breitschbeider skazany został w latach 70. na 20 lat pozbawienia wolności.

¹¹ Ruks miał psa który rozszarpał ofiary.

okrucieństwem¹². Trzeba odnotować także „dobrych” Niemców jakim był np. inż. Brauner- przedwojenny obywatel polski, kierownik Urzędu Zatrudnienia (Kreishochbauamt), który pomagał Polakom unikać wywozek na roboty do Niemiec. W Czortkowie było 30 gestapowców, 20 ukraińskich policjantów i trzy tysiące członków ukraińskiej policji pomocniczej.

Zamach na gestapowca Ferdynanda Radke - Ferdynand Radke był przystojnym, dobrze wysportowanym (znał i uprawiał judo, strzelectwo) ale także i okrutnym funkcjonariuszem Gestapo. Pochodził z rodziny kolonistów niemieckich na Wołyniu. Wstąpił do Gestapo w przeciwieństwie do reszty swojej rodziny. Jako że znał język polski oraz wielu ludzi osobiście był wyjątkowo niebezpieczny dla polskiego ruchu oporu. Wyznaczony był z Gestapo w Czortkowie do wykonywania wyroków. Jeszcze przed zatrudnieniem tam zakatował w więzieniu polskiego żołnierza usiłującego przekroczyć rumuńską granicę oraz zastrzelił oficera Wehrmachturodowitego Niemca który próbował przemycić do Rumunii lwowską Żydówkę. W czasie likwidacji czortkowskiego getta siedział na dachu ciężarówki strzelając z karabinu maszynowego do Żydów, popijając przy tym koniak i jedząc kanapki.

Akcję na Radkego przeprowadzono 23 lub 24 października 1943 roku w Zaleszczykach. Udział w niej wzięli Paweł Budyś ps.

¹² Pełen wykaz winnych zbrodni na Żydach w Czortkowie i okolicy: 1. Hilde- man kapitan, szef Gestapo (zmarł w 1945 w niewoli amerykańskiej) 2. Pekman, kapitan, szef Gestapo 3. Stefan szef więzienia. 4. Maierhofer szef więzienia 5. Rozenhof szef więzienia (?) 6. Paal Komendant getta. 7. Tumanek komendant getta, oraz szef Gestapo w getcie, oraz gestapowcy: 1. Kelner, 2. Richter, 3. Frank, 4. Keltswich, 5. Breitschneider, 6. Hagerman, 7. Rimpler, 8. Ruks, 9. Radke, 10. Kuchman, 11. Tsih, 12. Meier, 13. Basso, 14. Eisel, 15. Martin, 16. Miller, 17. Felde, 18. Kimperg, 19. Keller, 20. Lutsel, 21. Knispel, 22. Kaminsky, 23. Ferus, 24. Grocholsky, 25. Shudert, 26. Hubert, 27. Otto, 28. Gross, 29. Urban, 30. Frynd. Ukraińscy nacjonaści: 1. Mula Ivan, 2. Mulyk, 3. Roshko, 4. Mykechans, 5. Hushulak, 6. Starovsky, 7. Skab, 8. Skorevych, 9. Ivasiv, 10. Moroz, 11. Podlubny, 12. Gnativsky, 13. Slobodyan, 14. Leschinsky, 15. Kachmanyuk, 16. Krchak, 17. Melnychenko, 18. Tyll. Tenże wykaz wraz z komentarzami pochodzi z oryginalnego protokołu badania zbrodni w 1944 roku. Patr: www.czortkow.org.il.

„Kos” oraz Marian Pełechaty ps. „Meteor”. Broń dostarczyła im Józefa Solarska ps. „Ina”. Nie było to zadanie łatwe bo gestapowiec - zdając sobie sprawę z zagrożenia jakie na niego czyha, często zmieniał plany i trasy. Wyrok wydał Sąd Okręgowy Komendy AK w Tarnopolu.



Zdjęcie ze strony www.czorkow.org.il podpisane „Niemieccy zbrodniarze z Czorkowa”

W niedzielne ciepłe popołudnie do Zaleszczyk pociągiem przybywa Wanda Cz. oraz obserwujący ją „Kos”. Wanda Cz. (córka przedwojennego sierżanta KOP) która to jest bezgranicznie zakochana w F. Radke i utrzymuje z nim kontakt intymny, umówiła się z nim w Zaleszczykach na randkę. Radke oczekuje jej na dworcu gdzie obserwuje go „Meteor”. Po przywitaniu Radke bierze Wandę Cz. pod rękę i udaje się w kierunku miasta. Za nimi w pewnej odległości kroczy „Kos”, zmierzając do samochodu gdzie para przystaje, przy parkaniu willi, „Kos” przykłada nagan dwa centymetry od nasady czaszki i strzela zabijając Radkego na miejscu. Przeszkodą w odwróceniu staje się ukraiński przechodzień który zaczyna krzyczeć „ratunku”, „Meteor” strzela do niego celowo nie trafiając co powo-

duje jego ucieczkę. Obydwaj z „Kosem” kierują się biegiem do najbliższego lasu. W ciągu kilkunastu minut wszystkie posterunki niemieckie ruszają w pościg, ale zamachowcy są już bezpieczni. Po zamachu podejrzenia padły na Ukraińców i prawdopodobnie kilku rozstrzelano. Co do Wandy Cz. - nie stwierdzono by komuś zaszkodziła, nie miała także powiązań z AK. Po śledztwie w Gestapo, zmuszona do wyjechania do zachodniej Polski.

Zamach na Johanna von Iselta - Kedywowi AK nie udało się pomimo zakrojonych działań wstępnych zlikwidować szefa czortkowskiego Gestapo Pekmanna. Ten szczywany lis mieszkał kilkadziesiąt metrów od pracy i zawsze poruszał się w eskorcie dwóch gestapowców. Na przełomie 1943/44 roku wyjechał on z Czortkowa, a zastąpił go Johann von Iselt dotychczasowy szef Kripo- Policji Kryminalnej, który to od stycznia 1944 roku zaczął pełnić obie funkcję jednocześnie. Obydwie te organizacje są współwinne mordów na czortkowskich Żydach. Johann von Iselt urodził się w 1897 roku, wcześniej pracował w Kripo w Samborze i Stryżuwany był „słodko uśmiechniętym diabłem”. Zadanie organizacji likwidacji Von Iselta przypadło Stanisławowi Muszyńskiemu „Vickersowi” który pracował w Kripo jako stangret (woźnica), a wykonanie wyroku spadło na Adama Majora „Sowę”, Stefana Chorostowskiego „Sokoła”, Kazimierza Henchna ps. „Tygrys” oraz Tadeusza Czajkowskiego „Sasa”.

Pod koniec stycznia 1944 wieczorem zamachowcy spotkali się na ul. Zielonej w Czortkowie, która to ulica była pochylona (była nawet używana do jazdy na sankach). „Sas” oraz „Sowa” zostali jako obstawa przy znajdującej się na ul. Zielonej elektrowni, a „Sokół” i „Tygrys” zeszli w dół do budynku Kripo, udając ślizganie się po ulicy. Na znak wychodzącego z budynku „Vickersa” obydwaj zbliżyli się. Wtem nieostrożnie z budynku wyszedł z psem zniecierpliwiony Von Iselt który oczekiwał samochodu. Zrobił kilka kroków i otrzymał dwa strzały w pierś od „Sokoła” i „Tygrysa”. Zamachowcy szczęśliwie zbiegli. W odwecie za to Niemcy rozstrzelali 12 (bądź też 25) więźniów pod siedzibą Kripo- w miejscu zamachu, oraz przesunęli godzinę policyjną.

Zamach na kierownika więzienia Rybaka - Niejaki Rybak był kierownikiem (bardziej prawdopodobne) lub naczelnikiem więzienia. Nie ustalono czy był Polakiem czy Ukraińcem. Gorliwie wysługiwał się Niemcom i wykazywał się ogromną brutalnością do więźniów. Wyrok na nim wykonano dopiero za trzecim razem (wcześniej wykonać go próbowali: Paweł Budyś ps. „Kos”, Tadeusz Ostrowski „Oset” oraz Włodzimierz Szuba ps. „Cichy”). Wyrok wykonali Tadeusz Czajkowski ps. „Sas” oraz Józef Ruczyński ps. „Trzask”. Wyrok wykonano w sierpniu/wrzeźniu 1943 na progu domu Rybaka w Czortkowie przy ul. Szpitalnej, nie zginął on na miejscu, zmarł po kilku dniach z ran w szpitalu więziennym.

Zasadzka na policjanta Kripo Zbrożka - Zbrożek - funkcjonariusz Kripo mieszkał na Starym Czortkowie u p. Fedorowiczowej. Często jeździł po wsiach pow. czortkowskiego w celach służbowych, bryczką powożoną przez „Vickersa”. Pod Białobożnicą zorganizowano na niego zasadzkę celem rozbrojenia (nie zabicia) i zdobycia broni. W akcji która działa się pod koniec 1943 roku brali udział m.in. „Vickers” i „Meteor” oraz dwóch innych akowców. „Meteor” wraz z dwoma akowcami zatrzymali bryczkę kazali Zbrożkowi i wtajemniczonymu w akcję „Vickersowi” podnieść ręce do góry i rozbroili ich. Pomimo ciemności zaszło podejrzenie że Zbrożek rozpoznał jednego z uczestników akcji. Wobec tego po komendzie opuszczenia rąk i rozejścia się w pole „Meteor” zastrzelił Zbrożka. „Vickers” uznał później tę decyzję za słuszną.

Uczestnicy tych akcji:

Stanisław Muszyński „Vickers”- Dowódca Kedywu- ur. 1916 w Zalesiu k. Czortkowa zm. 1998.

Marian Pełechaty „Meteor” urodził się w 1923 roku w Kalinowszczyźnie pow. Czortków. Od 1944 roku w LWP. Zmarł w 1992 r.

Paweł Budyś ps. „Kos” urodzony w 1920 roku w okolicy Bochni, zginął tragicznie jesienią 1946 roku zastrzelony przez nieznaną osobników w pobliżu Bochni. W tym czasie był umundurowanym pracownikiem KBW. Zwłoki znaleziono dopiero po pół roku.

Adam Major ps. „Sowa” ur.1924 r. w Czortkowie, nauczyciel na ziemi opolskiej, zmarł w 1995 roku.

Tadeusz Czajkowski ps. „Sas” ur. 1922 r. w Buczaczu, żołnierz wyklęty, zmarł w 2012 roku w Brzegu.

Tadeusz Ostrowski „Oset” ur. w 1923 roku w Stanisławowie, zasłużony pszczelarz, zmarł w 2002 roku w Szczecinie.

Kazimierz Henchen ps. „Tygrys” ur. 1923 r. we Lwowie, zmarł pomiędzy 1990-2000 rokiem.

Józef Ruczyński ps. „Trzask” ur. w 1924 roku w Czortkowie, zmarł po 2001.

Włodzimierz Szuba ps. „Cichy” ur. w 1927 roku w Czortkowie.

Stefan Chorostowski ps. „Sokół”

Józefa Solarska ps. „Ina”, nauczycielka, udzielała tajnych kompletów, kierowniczką obwodowej Wojskowej Służby Kobiet.

Kedyw Czortowski dokonał prócz tego wielu chlubnych innych akcji (rozkrecanie torów, sabotaż, kolportowanie pism), ale te były najbardziej „widowiskowe” i niebezpieczne. Były to akcje o największym rozmachu w całym okręgu Tarnopolskim AK. Dlatego warto przypominać je potomnym, a także to kto brał w nich udział co próbowałem w wielu źródłach ustalić.

Źródła

Antochów Wiesław „*Dzielny Paweł*”, cz. I- III- Głosy Podolan nr 87-89/2008

Czajkowski Tadeusz, Ruczyński Józef „*Uwagi do opracowania kol. Adama Majora ps. „Sowa”- „Kedyw karze i ostrzeża*” Głosy Podolan nr 7/1994

Młotecki Piotr „*Sprostowania do IV rozdz. „Czortków w latach II wojny światowej w monografii Marka Ściślaka „Czortków 1522-1946” Wrocław 1993*” Głosy Podolan nr 7/1994

Szewczyński Jerzy „*Wspólnota żydowska w Kopyczyńcach (woj. tarnopolskie) Relacja naocznego świadka wydarzeń Isydora Dienera z Nowego Jorku*” Głosy Podolan nr 28/1998

Ściślak Marek „*Czortków w latach 1522-1946*”, Wrocław 1993.

Major Adam „*Kedyw karze i ostrzeża*”. cz.I-III Głosy Podolan nr 3-6/1994

Pohl Dieter „*Nationalsozialistische Judenverfolgung in Ostgalizien 1941-1944*” Monachium 1997

www.czortkow.org.il –strona o czortkowskich Żydach (dostępna w językach angielskim i hebrajskim)
oraz nekrologi członków Kedywu ukazujące się na łamach „Głósów Podolan”

Redakcja

Wspomnienia osób wypędzonych z Podola

Od bieżącego numeru „Głósów” zamieszczać będziemy wspomnienia Podolan z wypędzenia z naszych stron w 1945 roku. Wspomnienia te opublikowane zostały w 2004 roku w nr.6 „Zeszytów Specjalnych”. W związku z tym że od jego ukazania się minęło już ponad 15 lat i większość osób może ich nie znać lub nie posiadać, ponawiamy publikacje niektórych z nich. Zachęcamy także czytelników do nadsyłania następnych oraz pisania na temat „jak wyglądały pierwsze lata w nowym miejscu pobytu”.

Władysław Kubów
Warszawa

Szli na zachód osadnicy

Rok 2004 to 60 rocznica ludobójczych mordów dokonanych na ludności polskiej przez bojówki OUN - UPA, jak też wysiedlenia pozostałej przy życiu ludności polskiej z woj. tarnopolskiego.

Gdy w nocy z 22/23 lutego 1944 r. przy 20-stopniowym mrozie i śniegu po pas napadła na moją rodzinną wieś Berezowice Małe k. Zbaraża banda UPA i wymordowała, wyrznęła 131 ludzi – Polaków, od niemowlęcia do starca, zrabowała dobytek i spaliła zagrody, to pozostali przy życiu uciekali gdzie się tylko dało. Wieś była pełna trupów i czerwonej krwi na białym śniegu. Pochówek odbywał się pośpiesznie i płytko, bo ziemia była zamrznięta, lub po prostu tylko w śniegu, bo pod wieczór już nikogo z Polaków we wsi nie było. Uciekli do innych wsi, a także do Zbaraża i Tarnopola.

Trzeba współczuć prawym i uczciwym Ukraińcom, którzy musieli pozostać we wsi na tym zbiorowym cmentarzystku pomordowanych polskich sąsiadów.

Moja rodzina – ojciec lat 63, brat Bronisław lat 23, ja lat 21 i dwie siostry Adela lat 18 i Józia lat 16 (mama już nie żyła), po pożrebaniu kilku zamordowanych członków dalszej naszej rodziny i najbliższych sąsiadów, już pod wieczór uciekliśmy do Tarnopola, do cioci Antosi z Mieszków Brygierowej. Spod rynny na deszcz.

Bowiem tu przeżyliśmy oblężenie miasta. Walki trwały 6 tygodni. Po zajęciu północnej części Tarnopola przez Armię Czerwoną powróciliśmy do Berezowicy i zaraz obaj z bratem zostaliśmy zmobilizowani do Armii Polskiej w Związku Radzieckim. Ja znalazłem się w szkole podoficerskiej w Sumach pod Kurskiem, a brat w szkole oficerskiej w Riazaniu nad Oką.

W związku z tym, że byłem na froncie, nie przeżyłem bezpośrednio wysiedlenia. Poprosiłem więc żyjące jeszcze siostry, aby one opisały wysiedlenie Polaków z naszej wsi. Oto co napisały te proste (4 klasy szkoły powszechnej) kobiety, które po prawie 60 latach wiele zapamiętały, gdyż takich strasznych przeżyć nie zapomina się nigdy.

Oto ich relacje:

Józefa Ciesielczyk z d. Kubów, Sośnica, pow. Pleszew – Wielkopolska.

„Piszę to, co zapamiętałam z tak odległych czasów. W październiku 1944 przyjechał do Berezowicy ze Zbaraża urzędnik sowiecki, zrobił zebranie i ogłosił, że w Tarnopolu powstał Komitet Polski, który załatwia wyjazd ludności polskiej do Polski. Więc kto chce może do Polski wyjechać, a ci, którzy nie chcą wyjeżdżać, to muszą podpisać oświadczenie, że zgadzają się na obywatelstwo sowieckie. Ludzie nie chcieli wyjeżdżać w nieznaną, ale też nie zgadzali się na sowieckie obywatelstwo. Zdecydowali się jednak na wyjazd, bo gdy front przesunął się nad Wisłę, to banderowcy znowu zaczęli mordować Polaków. Gdyby tego nie było to nikt by nie wyjechał, a szczególnie nasz ojciec, który tę ziemię tak kochał.

Trwaliśmy więc nadal. W dzień pracowaliśmy, w nocy chowaliśmy się przed banderowcami gdzie się tylko dało. Najlepiej było w budynkach i piwnicach u sąsiadów Ukraińców. Gorzej było jak przyszła zima. Jednak dobry człowiek, sąsiad - Ukrainiec, Fed'ko Bartkiw, pozwolił nam spać w swojej piwnicy, która znajdowała się w stodole i nie rzucała się w oczy. Codziennie skoro świt przychodził i powiadał, że mamy już iść do domu, bo we wsi jest spokój. I tak było do 20 grudnia. W dniu tym był w Berezowicy praznik (odpust) św. Mikołaja i Fed'ko długo nas nie budził. Ojciec bardzo niecierpliwił się, że on tak długo nie przychodzi, mimo że już całkiem biały dzień. Wreszcie przyszedł błądy i powiedział, że nie będzie już nas przechowywał, bo byli u niego banderowcy w nocy i powiedzieli, że jak znajdą tu Polaków, to będzie z nim i jego rodziną to, co z Polakami.

Przeszliśmy przez drogę do domu, ale tak, żeby nas nikt nie widział - ukradkiem i natychmiast szykowaliśmy się do wyjazdu do Polski. Adela poszła z krową do Tarnopola, a ja z ojcem pozbieraliśmy nasz marny dorobek i zawieźliśmy go do ciotki Brygierowej w Tarnopolu. Mieliśmy dwa marne konie kupione za wódkę- kontyngentówkę od sowieckich żołnierzy. Gdy wracaliśmy, żeby coś jeszcze z domu zabrać, zastała nas noc pod Ihrowicą. Ojciec bał się jechać dalej i zanocowaliśmy u kuzyna ojca, Stanisława Białowęsa. Rano, w Wigilię Bożego Narodzenia 24 grudnia 1944 r. ojciec pojechał do Berezowicy, a syn Stanisława, Janek Białowęs zawiózł mnie do Tarnopola. Ojciec wracając wstąpił po mnie, a żona Stanisława, który był na froncie, bardzo prosiła, aby ojciec pozostał na świętej Wieczerzy. Ale on coś przeczuwał, podziękował, bo chciał w ten uroczysty wieczór być z nami. Wyjechał z Ihrowicy, było ciemno i dojechał do Iwaczowa. Obejrzał się, a Ihrowica już się paliła. Banderowcy napadli na wieś i wymordowali prawie 100 Polaków, a księdza porąbali siekierą na kawałki. Właśnie w tę Wigilię mieliśmy jechać do Polski pierwszym transportem.

Czekaliśmy jeszcze tydzień i dopiero w Sylwestra ładowaliśmy się do towarowych wagonów. Jechało nas dużo rodzin, po kilka rodzin w jednym wagonie. Była sroga zima, do dzisiaj zastana-

wiam się, jak my to wszystko wytrzymaliśmy, głodni, zmarznięci, bo nie było ani dobrych butów, ani odzienia ciepłego. Nie pozwolono nam zabrać ani krowy, ani koni, wszystko razem ze sprzętem zostało w Tarnopolu na rampie kolejowej. Ale nie żalowaliśmy, byliśmy szczęśliwi, że wyjeżdżamy żywi chociaż w nieznaną. Z różnymi przygodami jechaliśmy w Lubelskie do Krasnegostawu dwa tygodnie.

Tego nie da się opisać. W Krasnymstawie czekaliśmy jeszcze kilka dni zanim przyjechały podwozy i zawieźli nas do Krasicyzna, a później jeszcze dwa kilometry do wsi Czajki. Tu na skrzyżowaniu staliśmy na mrozie i śniegu, a przygarnęła nas rodzina Krasowskich. Tam mieszkaliśmy, do lipca 1945 r., w jednej izbie 7 osób. Gdy w lipcu jeden repatriant wyjechał na zachód, to my po nim dostaliśmy chatę. Było nam lepiej, bo przynajmniej byliśmy sami. U Krasowskich (dobrzy ludzie) było bardzo krępujące dla nas młodych dziewcząt mieszkać w jednej izbie, nas troje i czworo domowników.

Codziennie chodziłyśmy z Adelą do ludzi na zarobek. Za cały dzień pielienia czy innej pracy dostawałyśmy litr mleka, albo coś innego do jedzenia. Ojciec nasz pasał krowy u pani Adamskiej za wyżywienie. Reszta to już wiesz, bo jak wróciłeś z wojny, to zabrałeś nas w Poznańskie. Adela na pewno napisze więcej, bo była starsza ode mnie i ona załatwiała nasz wyjazd”.

* * *

A oto, co pisze na ten temat moja druga siostra, Adela, zamieszkała w Czajkach pow. Krasnostaw:

„Zadałeś mi trudne zadanie, nie wiem czy dam radę opisać to wszystko. Ciężko mi już pisanie idzie, ręka się trzęsie, ale postaram się to opisać, bo jeszcze wszystko pamiętam, tak jakby to było wczoraj.

A więc jak poszliście z Bronkiem na wojnę, punkt zborny był w Stryjówce, k. Zbaraża, przyszła wiadomość, że będziecie już wyjeżdżać na wschód. Więc matki, żony i siostry z Berezowicy wybrały się do Zbaraża, aby pożegnać swoich bliskich. Ja też pojechałam,

aby pożegnać Was, moich braci. Staliśmy przy drodze pod Zbarazem, a dużą kolumnę mężczyzn żołnierze sowieccy prowadzili na stację kolejową. Wy obaj wychodziliście z szeregu i tak razem szliśmy. Poborowi szli nie tylko ze Stryjówki, ale i z innych punktów zbornych. Wszystkich zgromadzili na zamku, gdzie z wielkim płaczem pożegnaliśmy swoich najbliższych.

Jak wróciłam do domu, koło drzwi stał ruski żołnierz na warcie, bo w naszym domu zrobili szpital. Gdy wyjeżdżałam do Zbaraza to tego szpitala jeszcze nie było. Zaczęłam płakać, bo nie wiedziałam gdzie tato i siostra Józia, a tu ciemna noc. Żołnierz zlitował się i powiedział, że oni zostali przeniesieni do sąsiada Ukraińca, Fed'ka Bartkiwa. Ojciec i Józia ucieszyli się, że wróciłam, bo to północ i pełno sowieckiego wojska. Wróciliśmy do domu, gdy szpital przeniesiono do szkoły.

Była wiosna. Posadziliśmy w ogrodzie trochę kartofli i warzyw. Był spokój, ale gdy w czerwcu wojsko poszło z frontem na zachód, to już nikt nie spał w domu. Chowaliśmy się na noc gdzie się dało, bo banderowcy wyszli z ukrycia i znów zaczęli mordować Polaków. Było tak, że w dzień była władza radziecka, a w nocy – banderowska. A jeszcze wcześniej, jak bili się nad Seretem, to nas wypędzili Sowietci na wschód do Netreby. Tam koczowaliśmy w spalonych domach, bo Netrebę wymordowali i spalili za Niemca banderowcy. Tam byliśmy kilka tygodni, a głód był straszny, tego nawet nikt nie zrozumie. Na żniwa wróciliśmy do domu, nie było za dużo do zbioru, bo czołgi zryły pola i zniszczyły zasiewy. Dla nas z Józią (ojciec ciągle chorował) to było i tak dużo roboty, bo to trzeba było wszystko zebrać sierpem. A najgorzej, że nie było co jeść.

Ojciec za wódkę kontyngentówkę (była zakopana) kupił od sowieckich żołnierzy krowę i dwa liche konie. Przyszli inni żołnierze i chcieli je odebrać, ale ojciec schował je w stercie słomy. Już było bardzo dobrze, bo mieliśmy mleko, tłukliśmy w stępie proso, gotowaliśmy kaszę na mleku i już głód był zaspokojony. Ugotowałam tej kaszy i poszłam z Józią żąć pszenicę na Iwaniackie, gdzie było dwie morgi pola. Pszenica piękna i nie zniszczona przez czołgi. Ale czy my damy radę zebrać to sierpem? Płakałyśmy i żęłyśmy

zboże. Do domu było ze cztery kilometry, więc wzięliśmy ze sobą w garnku kaszę. Zmęczone pracą zjadliśmy kaszę i ja usnęłam. Przyśniło mi się, że garnek z kaszą przewrócił się i ona się wylała. Obudziłam się ze strachu, co będziemy jadły, ale na szczęście kasza stała nie wylana. Przepraszam za takie pisanie, ale ja to na nowo przeżywam i bardzo się wzruszam. Ojciec był tak chory, że nam młodym dziewczynom bardzo mało pomagał. W dzień ciężko pracowałyśmy, a w nocy kryłyśmy się po strychach oborowych, po różnych dziurach, ale jeszcze w naszej zagrodzie. Woziliśmy z Józią snopy, a konie nie były przyzwyczajone do roboty w gospodarstwie i szły do przodu, - mur to mur, płot to płot, woda to woda. Jak jechałyśmy na tych snopach to ludzie oczy zamykali ze strachu. Ale jakoś nic nam się nie stało.

Zboże młóciliśmy u Kaśkowych (Ukrainiec Hryhorko Budnik) kieratem, ale wiać nie było czym, bo z naszego młynka wojsko zabrało rafki na okna do ziemianek. Dzisiaj sama nie wierzę, że ja jako młoda dziewczyna jedenaście metrów (metr = 100 kg) przesiałam przetakiem i zawiozłam do punktu do Dobrowód na kontyngent, jaki władza sowiecka na nas nałożyła. Za pierwszych sowieców ojca jako kurkula (kułaka) prześladował Paweł Łewkiw – hołowa silrady, którego sami Ukraińcy, jak przyszli Niemcy, w piwnicy na plebani udusili. Teraz ojca prześladował hołowa Jantoch Kowal¹³.

Zbliżała się jesień, trzeba choć trochę zasiać zboża na chleb na przyszły rok. Wysiałam z przetaka na jednej mordze pola żyto i na jednej pszenicę. Ale pod pszenicę, aż do Zapust – 4 km, trzeba było wozić obornik. Wojsko gnojownik ze względu na higienę (był u nas przez pewien czas szpital) przykryło grubą warstwą ziemi. Ziemię trzeba było usunąć, nałożyć na wóz ciężki, bo przegniły obornik, zawieźć na pole i rozrzucić. Raz nawet koło nam się zepsuło, stałyśmy obie i płakały, aż tato przyszedł i koło nam odhamował

¹³ Jak się o tym dowiedziałem, to mu napisałem, żeby ojcu dał spokój, bo jestem w Wojsku Polskim i jak przyjadę to się z nim rozliczę – poskutkowało, odczepił się. (W. K.)

i jechaliśmy dalej. Tego wszystkiego nieszczęścia nie da się opisać. A zresztą, czy ktoś w to uwierzy?

Wojsko z frontem poszło na zachód, a bandy ukraińskie tylko na to czekały i zaczęły dawać znaki o sobie. Był już wrzesień i zaczęliśmy szukać lepszych kryjówek. Ojciec na razie z nami nie ukrywał się, miał swoje tajne kryjówki. A my obie z Józią, ze Stefanką, Milcią i Dozią Szybistą trzymałyśmy się zawsze razem. W naszej stodole zrobiliśmy sobie kryjówkę. Od między Kaśkowych wydarłyśmy pod ścianą słomę, tak żeby było gdzie pomieścić 5 osób. Deski od dołu oderwałyśmy, tak nie całkiem, żeby w razie pożaru można było uciec, od klepiska (toku) wydarłyśmy też dziurę, (taki tunel), żeby do kryjówki można było dojść. Ostatnia zatykała za sobą słomą tę dziurę i tak nie rozebrane, spałyśmy. A czy ze strachu można było zasnąć? Tu ukrywałyśmy się do późnej jesieni. Ktoś z Ukraińców musiał nas wypatrzeć, bo zaczęli ludzie mówić gdzie się ukrywamy. Mieliśmy sąsiadów Ukraińców, bardzo dobrych ludzi. Tudośko (Ćwach), a właściwie jego rodzina, bo on był na wojnie, umieścili nas na strychu nad oborą, a stary Hryć, zakrywał nas, całą piątkę słomą. Tam ukrywaliśmy się do grudnia.

W dzień trzeba było ciężko pracować. Przyjechał jakiś sowiecki przedstawiciel ze Zbaraża, zrobił zebranie i powiedział, że Ukrainy nie będzie, bo takie państwo nigdy na mapie nie istniało. A ponieważ front zatrzymał się na Wiśle, to Polacy jak chcą mogą jechać na Zachód do Polski, bo tu i tak Polski nie będzie. Ludzie jak to ludzie, posłuchali i nic. Kto ze swojej ojcowizny chciał wyjeżdżać w nieznaną? Ale zastanawiali się, czy jednak nie uciekać, żeby ratować życie. Banderowcy coraz częściej napadają i mordują Polaków w innych wioskach. W Berezowicy w nocy wzięli Franka Kubowa (Bobko), za bandaż na szyi ciągnęli go przez całą wieś za koniem i w końcu powiesili na krzaku bzu u Mateusza Zakrzewskiego. Przyczepili kartkę, że zginął za donoszenie. Później zamordowali w stajni między końmi Piotra Kubowa, byłego sołtysa, następnie Pawła Wiśniowskiego. Po tych mordach, ojciec się przestraszył (był 10 lat wójtem gminy w Berezowicy, a później radnym gminy zbiorczej) i ukrywaliśmy się we trójkę – ojciec, ja i Józia - u

dobrego Ukraińca, sąsiada Fed'ka Bartkiwa. Miał loch – piwnicę w stodole i tam spaliśmy na kartoflach. Zawsze na noc Fed'ko nas zamykał i nakrywał właz słomą, a raniusieńko odmykał, żebyśmy mogli przejść do domu przez drogę i żeby nikt nas nie widział.

20 grudnia był ukraiński praznik (odpuśc) św. Mikołaja. Już całkiem późno i czujemy, że już dzień, a Fed'ko nie przychodzi. Wreszcie przyszedł bład jak śnieg, trząśł się ze strachu i mówi, idźcie sobie gdzie chcecie, bo dzisiaj w nocy była banda i powiedzieli, że ja przechowuję Polaków. I zagrozili mu, że jak kogoś znajdą, to z nim i jego rodziną będzie to samo, co z Polakami. Już wtedy nie było rady, trzeba było uciekać. A było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Wielu Polaków z Berezowicy już wcześniej wyjechało do Tarnopola, by wyjechać do Polski.

Ojciec wziął sanie, na które załadował 4 worki ziemniaków, worek pszenicy i trochę mąki razowej, skrzynię z ubraniami, zrobiony przez mnie kilogram masła i pojechał z tym, wraz z Józją, do Tarnopola. Ja skoro świt wyszłam z krową do Tarnopola, a dotarłam tam (było około 24 km) w mrozie i śniegu w kiepskim odzieniu i podartych butach około godz. 10 wieczorem, do Brygierów. Ojciec zostawił po drodze Józję u kuzynów w Ihrowicy, a skrzynię z rzeczami przywiózł do cioci Brygierowej w Tarnopolu. Ktoś mu z tej skrzyni ukradł pół masła, prześcieradło i moją jedyną sukienkę granatową uszytą ze spódnicy nieboszczki mamy, ale kto to ukradł nie wiem.

Urząd obiecał nam, że zabierzemy ze sobą konie, krowy i inne rzeczy, ale tego transportu jeszcze nie było. W Wigilię tato z ciocią Agnieszką Jaworską raniuteńko pojechali jeszcze do Berezowicy. Mieliśmy trochę owiec, ojciec postanowił dwie zarznąć na mięso, a resztę zostawić dobremu Ukraińcowi. Wracali już wieczorem i wstąpili do Ihrowicy do kuzyna ojca Stanisława Białowasa, który był na froncie, po Józję, ale jej już nie było, bo syn Stanisława – Janek zawiózł ją do Tarnopola. Żona Stanisława prosiła ojca, by został na świętą Wieczerzę, ale nie skorzystał z zaproszenia, bo chciał być ze swoimi. Tylko wyjechali za Ihrowicę, a tu strzały i wieś się pali. To banderowcy napadli na Ihrowicę, wymordowali

około 100 ludzi, w tym porąbali na kawałki polskiego księdza. Chyba nazywał się Szczepankiewicz.

Kiedy już mordowali w Ithrowicy, to siostra ojca ciocia Franja, którą Ukrainiec wioził do Tarnopola też została zamordowana. W sierpniu nad Pilicą na froncie zginął jej mąż, Franciszek Kocaj, została 10-letnia córka – Jańcia ze starą babką. I jak tu dziecku powiedzieć, że i mama nie żyje. Ale wreszcie powiedzieliśmy, rozpaczało dziecko strasznie. Została z babcią i ciocią, siostrą taty.

Jechała z nami w świat nie wiedząc dokąd. Święta jeszcze w Tarnopolu, mieliśmy najsmutniejsze w życiu. Jedne, kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem zmarła mama, a drugie w 1944 r. Bracia na wojnie, a my już na wygnaniu, bo do domu już nie wróciliśmy nigdy. Wiadomości od braci nie mieliśmy, raz napisał Broniek z Lublina. Opisał Majdanek, gdzie Niemcy palili ludzi.

Aha! Jeszcze jak byliśmy w domu to sowieci zabierali dziewczęta do kopalni do Rosji, strasznie się tego bałyśmy, ale jakoś nas nie ruszali.

Wreszcie podstawili wagony, ale było ich mało, bo wszystko szło na front. Na Sylwestra ładowaliśmy się do towarowych wagonów. Wieźliśmy 4 worki kartofli, worek pszenicy, niecały worek razowej mąki, no i skrzynię z tobołkami. Musieliśmy to wszystko dwa razy dźwigać, bo pociąg zatrzymał się daleko. Ani konia ani krowy nie zabraliśmy i razem z innymi rzeczami wszystko zostało na stacji. W wagonie towarowym było nas 4 rodziny z tobołami, oni inwentarz też musieli zostawić. A jak nosiłyśmy te worki i toboły to płakałyśmy i przewracałyśmy się, bo nie było sił, a tu nikt nie pomoże, bo pilnuje swego. Już całkiem w wieczór przyszedł do naszego wagonu Ukrainiec z Berezowicy, ojca kolega. Był w Tarnopolu i dowiedział się, że już wyjeżdżamy, więc chciał się pożegnać. My z Józią szczęśliwe siedziałyśmy na tych workach, a on, żegnając się razem z ojcem płakali, życzył nam wszystkiego dobrego. Całkiem zapomniałam jak on się nazywał, zawsze do ojca przychodził w Berezowicy, a mieszkał za cerkwią. Jedzenia nie braliśmy dużo, bo mówili nam, że jechać będziemy ze dwa dni. Dostaliśmy w Tarnopolu bochenek chleba i to było nasze jedzenie na całą dro-

gę. A tu zima, pełno śniegu na dachu wagonu towarowego. Na Nowy Rok 1945 rano pociąg ruszył. Jedziemy w nieznane. W wagonie stał na środku piecyk żelazny (koza), ale nie było czym palić. Pociąg jechał na zachód nad szosą, która szła do Berezowicy. Stałam w drzwiach wagonu i tak sobie myślałam, czy ja jeszcze tam wrócę? Czy już rodzinnych stron nigdy nie zobaczę? I dotychczas nie zobaczyłam.

Do Lwowa zajechaliśmy szybko, a we Lwowie staliśmy na boczniczy w zimnie i głodzie kilka dni. Jak wyruszyliśmy ze Lwowa, to w pierwszych i ostatnich wagonach jechało sowieckie wojsko, bo banderowcy napadali na pociągi. Tak nas transportowali aż do polskiej granicy. Nastąpiła odwilż, było trochę cieplej, ale w wagonie nie było się gdzie skryć, bo śnieg topniał, a woda przez szpary w dachu ciekła na nas i nasz marny dobytek. Za Lwowem był duży las, tu zatrzymał się pociąg, my wyskakiwaliśmy z wagonów, żeby zbierać choć trochę drzewa, bo nie było czym palić w kozie. Chleb się skończył, głód, są kartofle choć zmarznięte ale są. Zdobyliśmy garnek i wodę, postawiliśmy na ogniu ziemniaki i cieszymy się, że już będzie co jeść, ale pociąg raptownie ruszył, kartofle się rozleciały po całym wagonie, a my wszyscy w płacz, bo co będziemy jeść. To była dola tułacza.

Po kilku dniach przyjechaliśmy do polskiej granicy. Tutaj przywitali nas Polacy. Wymienili ruble na złotówki, ale ile tych rubli było, jeżeli ojciec dostał 20 zł. Cieszyliśmy się, że już jesteśmy w Polsce. Koło Zamościa jest stacja Zawada, tu pociąg zjechał na bocznicę, lokomotywa odjechała i znów staliśmy kilka dni. Głód, jeść nie mamy co, sytuacja nie do zniesienia. Była tam taka długa wieś, więc pójdziemy, może ktoś da chociaż kawałek chleba. Poszliśmy z Józią i wielu innych ludzi, zeszliliśmy całą wieś i nikt nic nie dał. Nie wiem, czy nie mieli, czy nie chcieli dać. Wróciliśmy do tych zimnych wagonów i został nam tylko płacz. Paliliśmy na kamkach przed wagonem ogień i gotowaliśmy zupę czystą i bez soli i czekaliśmy. W nocy przyjechała lokomotywa i jak pociąg ruszył to zatrzymał się dopiero w Krasnymstawie. Było to już chyba w połowie stycznia, ale się ociepliło.

Rano wygruzili nas na rampę i kazali czekać na furmanki. Przyjechała z Krasnegostawu kuchnia polowa, przywieźli kawę i po kawałeczku chleba, ale dawali tylko starym i dzieciom. Ojciec dostał, a my nie, ale podzielił się z nami. Na obiad przywieźli krupnik, a na wieczór znowu kawę i chleb. Już głód był trochę zaspokojony.

Na rampie tej byliśmy kilka dni, bo nie dawali furmanek. Była koło stacji duża szkoła. Było tam dużo naszych ludzi, poszedł też ojciec z Józią, a ja pilnowałam na rampie dobytku. Pilnowałyśmy ze Stasią Byczkowską i śpiewałyśmy smutne piosenki, bo co było robić. Wydawało się nam, że to już koniec podróży i będzie lepiej. Ale przed nami było jeszcze dużo nędzy. Wreszcie dali nam furmana, aż spod Żmudzi koło Chełma. Włożyliśmy na wóz, ten marny nasz dobytek, a było to w drugiej połowie stycznia pod wieczór. Przywieźli nas do Krasieczyna (około 16 km), w nocy, ciemno. Stąd rozprawdzali naszych ludzi do Starej Wsi, do Wólki, a nas do Czajek. Zima puściła, straszne błoto, furman źle skręcił, koło wpadło w dołek i wóz się przewrócił. Wszystko znalazło się w błocie, furman nie chce pomagać (może to Ukrainiec?), a my nie dajemy rady. W dali błyszczało światło i ojciec poszedł na to światelko. Przyszło dwóch wysokich mężczyzn i kazali furmanowi jechać (teraz wiem, że to byli Maciaszkowie z Wojciechowa), a on nie chce. Ja w płacz i nic nie pomaga, ale ci mężczyźni dali mi latarkę i pokazali kierunki ja w tym zimnym błocie szłam, a oni jechali za mną. Dojechaliśmy do wsi Czajka, gdzie na krzyżówkach czekali na nas ludzie razem z sołtysem Franciszkiem Żuławskim (dobry człowiek), rozprawdzał furmanki na prawo i na lewo. Nas skierował na lewo, było pod górkę, konie zmęczone nie chcą ciągnąć. Dokąd będzie tej męki, a była to już 11 w nocy. Byłyśmy umęczone i schlapane w błocie. Ja sobie pomyślałam, Boże, już niech nas tu wygrużą. I tak się stało, a było to koło domu Krasowskich. Sołtys uprosił Krasowskiego, żeby przyjął nas na noc, a rano może coś znajdzie. Przyjęli nas. Była to stara chałupa, bez podłogi, a domowników czworo w jednej małej izbie. Gospodyni napaliła pod kuchnią, ugotowała nam zupy, a ludzie biedni. Wojna wszystkich wyniszczyła. Dała do tej zupy masła, zjedliśmy y ogrzali się. Spaliśmy na słomie na ziemi.

Rano przyszedł sołtys i prosi gospodarza, żebyśmy zostali jakiś czas. Ukraińcy nie chcą wyjechać na Ukrainę i nie ma nas gdzie ulokować, bo my polscy wygnańcy mieliśmy być osiedleni na ich gospodarstwach. Zresztą nie wyjechali i siedzą tu do dziś. Po przyjeździe do Czajek na drugi dzień chwycił mróz i spadł duży śnieg. My z Józią siedziałyśmy i płakałyśmy. Na prośbę ojca gospodyni dała nam do darcia pióra, przedłyśmy nici, zajęłyśmy się robotą. Ale jak tu żyć, domowników czwórka, nas trójka, małe pomieszczenie jednoizbowe, ani gdzie się umyć, ani prać, a my tyle miesięcy nie robierane, brudne, zawszone i do tego świerzb. Chodziłyśmy do Krasnegostawu do opieki i dostawałyśmy szare mydło i litrami roztwór siarki na świerzb. Ja dawałam trochę mąki gospodyni, piekłyśmy w domu chleb. Mieliśmy jeszcze owcze mięso i tak żyliśmy, gotując dzień w dzień zupę. Kartofle nam w drodze zmarzły, więc gospodyni wzięła je dla świń, a nam dała dobre. Sołtys przydzielił ojcu jeden litr mleka dziennie. Gospodyni dawała nam to mleko i nie musiała oddawać dla państwa na obowiązkowe dostawy.

Sołtys wyznaczył też furmankę, która przywiozła nam z lasu drzewo. Głodu już nie było. Zimą odleciała mi z buta podszwa. Gospodarze dali mi skórogumy, a ich zięć zreperował mi buty, był szewcem. Za to odrabialiśmy w różny sposób. Woziałam na przykład do Lublina na handel tytoń. Dużo ludzi handlowało tytoniową krajanką. Na sieczkarni rznąli tytoń. Szyli takie bezrękawki i pikowali w to krajankę. Na te bezrękawki ubierało się cienkie odzienie, bo tych handlarzy władza ścigała. Uszyto mi ten "surdu" napchano 8 kg tytoniu i woziałam do Lublina. Wszystko za te podszwy. Jechało nas z 8 osób. Autobusów nie było. Z Krasieczyna pojechaliśmy jakąś ciężarówką. W Lublinie sprzedaliśmy tytoń. Z powrotem te 70 km szliśmy pieszo, bo nic nie jechało, a tu marzec - roztopy. Wróciłam o północy. Tak się odrabiało buty.

Przyszła wiosna 1945 roku, ojciec znalazł pracę na kolonii u pani Adamskiej, wdowy posiadającej duże gospodarstwo i dwoje dzieci. Obrządał inwentarz, pasał bydło, rąbał drzewo, wykonywał

prace w miarę swoich sił za... jedzenie. Na przednówku było źle z jedzeniem, bo mąka z Berezowicy się skończyła, a jeść się chciało codziennie. Tutejsze dziewczęta, sąsiadki też bardzo biedne, namówiły nas, aby w nocy iść na dworskie pole, gdzie była sterta rzepaku, a właściciel uciekł. Mówiły, nabijemy rzepakowego oleju i będzie co jeść. Nie bardzo na to się godziłyśmy, bo to grzech kraść. Ale dałyśmy się przekonać, dołączyła do nas kuzynka Marysia Jaworska i dwójka sąsiadów. Wzięliśmy worki i długie kije do młoczek. Rzepak był suchy, więc namłóciłyśmy go dużo i nikt nas nie widział. Wróciliśmy późną nocą. Gospodarz z ojcem pojechali do Surchowa, nabili oleju i już był tłuszcz. Najgorzej, że z tej kradzieży trzeba się wypowiadać, co ksiądz powie? Kuzynka Marysia poszła do spowiedzi wcześniej i powiedziała nam, nie bójcie się, bo ksiądz powiedział, że za to grzechu nie ma, gdyż jest to niczyje i że przeznaczone na jedzenie, a nie na handel. Odetchnęłyśmy z ulgą. Z Maryską Pryski (dziś Górczyńska) łowiłyśmy w jeziorze takie małe rybki karasie, ciągnęłyśmy kabląk i siatkę z brzegu na brzeg, a tato zbierał te rybki do wiadra. Z tych rybek smażyłyśmy na kradzionym oleju kotleciki. Rybki szły na maszynkę razem z cebulką, sól i chlebek i już nie było głodu. Gotowałam też z tych rybek zupę omaszczoną olejem. Tato to bardzo lubił.

Chyba był już czerwiec, wojna się skończyła, od Bronka nie było wiadomości, a o Tobie Wojtek Dzygała, który wrócił z frontu powiedział, że był razem z Tobą i widział, że jesteś zabity. Była niedziela, jak pod nasz dom podjechała furmanka i wyskoczył z niej fajny żołnierz. To byłeś Ty. Ojciec omal nie zemdłał, my nie posiadaliśmy się z radości i pamiętam, że częstowaliśmy takiego gościa barszczem- botwinką i czarnym chlebem razowym. Pod domem zebrało się wiele ludzi, bo przywiozłeś patefon z niemieckimi płytami. W jednej z nich było: "kajne, majne szuh". Byłeś ranny i dostałeś urlop, ale niedługo byłeś na tym urlopie.

Ojciec z gospodarzem Krasowskim pojechali do Krasnegostawu po oficera, który miał w Czajkach kwaterować. Patrzymy, a tu wchodzi Bronek, krzyk, radość ale też długo nie był i gospodarz

odwioził go do Żmudzi, do naszych krewnych Ziółkowskich, których osiedlono w Klesztowie k. Żmudzi, pow. Chełm.

Olej się skończył, a my obie chodziłyśmy do ludzi na pielenie i to tylko za jedzenie. Nikt tu za robotę nie płacił. Ojciec dalej pracował u p. Adamskiej. Przed żniwami wyjechał na zachód lwowiak, który był osiedlony na poukraińskim gospodarstwie. Przydzielono je nam. Podziękowaliśmy państwu Krasowskim za ich dobroć i przenieśliśmy się do swojej chałupy. Wreszcie po pół roku byliśmy sami. Ten Ukraińiec nie posiał zboża, więc sołtys przydzielił nam od innego Ukraińca kawałek żyta i pszenicy, więc w dalszym ciągu żęłyśmy sierpami to zboże.

Poznałam wtedy Edka Gradowskiego, starszego o trzy lata. Dobry był chłopak, tutejszy, jednak, mieli średnie gospodarstwo. Pomagał nam we wszystkim, woził snopy, pożyczył cepy, którymi z Józią młóciłyśmy zboże, pożyczył młynka (wialnię), woził drzewo z lasu na opał. Jeszcze wówczas nie wiedzieliśmy, że zostanie moim mężem. Chodziłyśmy do Gradowskich z Józią do młocki maszyną. Jesienią chodziłyśmy kopać ziemniaki. Ciągłe był jeszcze u nas głód i niedostatek, choć Edek nam bardzo pomagał, bo były takie dni, że nie było nic do jedzenia.

Wyście wyjechali w grudniu 1945 r. w Poznańskie, a ja wyszłam za mąż za Edka. Po dwóch latach urodził się nam syn Ryszard. Skończył średnią szkołę mechanizacji rolnictwa. Ożenił się aż w Bełżycach, ma syna Adama, który w Lublinie skończył studia i córkę Annę, która też w Lublinie studiuje medycynę. A my tu w Czajkach jesteśmy na rolniczej emeryturze.”

Tyle siostra Adela.

Ja po powrocie z frontu otrzymałem poniemieckie gospodarstwo rolne w Sońnicy gmina Dobrzyca, pow. Krotoszyn. Ściągnąłem ojca z siostrą Józią i brata Bronka. Pracując razem z nimi w gospodarstwie, pełniłem funkcję Gminnego Komendanta Przysposobienia Rolniczego i Wojskowego w Dobrzycach. Skierowano mnie do Poznania, gdzie skończyłem 7 klas, średnią szkołę i studia rolnicze na Uniwersytecie Poznańskim, a następnie Wydział Inży-

nieryjno - Ekonomiczny w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. I tu zostałem. Ożeniłem się z Anną Winicką – lekarką, mamy córkę Jolanę, która wyszła za mąż za Tomasza Dąbrowskiego – prawnika, oraz wnuka Miłosza.

Ojciec zmarł w Sośnicy w październiku 1954 r., siostra Józia została w Sośnicy na gospodarstwie. Wyszła za mąż za tutejszego Witolda Ciesielczyka. Ich córka Grażyna skończyła wyższe studia pedagogiczne. Wyszła za mąż za Janusza Chroboty, mają dwójkę dzieci Małgosię i Sławka.

Brat Broniek skończył technikum rolnicze w Słupsku, kurs dyrektorów PGR w Bożkowie i praktykę rolniczą w Czechosłowacji. Był ponad 30 lat dyrektorem PGR w Zalesiu k. Złotowa. Ożenił się z Genią, też dyrektorem PGR, wychowali trzech synów. Janusz jest inżynierem, ożenił się z lekarką Ewą, mają córkę Karolinę. Piotr skończył studia w Poznaniu, jest lekarzem dentystą. Ożenił się i ma jedno dziecko. Tadeusz studiował w Szczecinie Rybołówstwo Dalekomorskie, ale przerwał studia i został biznesmenem. Ożenił się i ma syna Kubę. Zmarł w 1991 r. pochowany w Złotowie.

Oto los tylko jednej, polskiej, rodziny chłopskiej wyrzuconej za burtę z pięknej, bogatej i żywej Ziemi Podolskiej.



Mila Sandberg-Mesner

Montreal – Kanada

Odsłonięcie pomnika ku pamięci Żydów w Zaleszczykach 28 IV 2011

Zaleszczyki, 28 kwietnia 2011 roku - odsłonięcie pomnika ku czci ofiar masowego mordy w Zaleszczykach w listopadzie 1941 roku. Była to niezwykle podniosła uroczystość z udziałem przedstawicieli miejscowych władz i instytucji, mieszkańców Zaleszczyk i gości z Kanady, z USA, z Austrii i Anglii. Na uroczystość przybyli również: Oksana Wynnycka, konsul honorowy Kanady we Lwowie, Gregory Pikiman, przedstawiciel B'nai Brith we Lwowie i Tarnopolu oraz rabin N. Koffmanski z Czerniowiec.

Burmistrz Zaleszczyk, Wołodymyr Benewiat, złożył wieniec na płycie pomnika. Znalazły się na niej piękne bukiety od przyjaciół i gości, jednak najbardziej wzruszający był moment, kiedy dwie starsze panie, Polki mieszkające stale w Zaleszczykach, przyniosły piękne czerwone tulipany ze swoich ogródków i ozdobiły nimi pomnik.

Rabin powiedział kilka słów, odmówił modlitwę i zaintonował El Male Rachamim, po czym nastąpiły wzruszające przemówienia pani konsul oraz przedstawicieli miejscowych władz i instytucji. Moje przemówienie wygłoszone w języku angielskim, tłumaczył na ukraiński młodzieńcy wnuk Wasyla Oliynyka. Powiedziałam między innymi:

„Minęły prawie trzy lata od chwili kiedy staliśmy w tym miejscu we czwórce- pan Wołodymyr Benevyat - burmistrz miasta Zaleszczyki, pan Wasyl Oliynyk - dyrektor Muzeum Regionalnego w Zaleszczykach, mój mąż Izio, i ja. Rozmawialiśmy z przejęciem o konieczności i potencjalnych możliwościach wzniesienia w tym miejscu pomnika upamiętniającego życie ponad 800 mieszkańców

tego miasta, którzy 70 lat temu zostali brutalnie zamordowani w tym samym miejscu, gdzie znajdujemy się dzisiaj.

Moje osobiste podziękowania i wyrazy wdzięczności kieruję przede wszystkim do Wasyla Oliynyka, bez którego ten projekt na pewno nie mogły ruszyć z miejsca. Dziękuję, Drogi przyjacielu, za twoje oddanie, troskliwość i uprzejmość, nie mówiąc już o niezliczonych godzinach, które poświęciłeś na realizację naszego projektu.



Odsłonięcie pomnika, p. Mila Sandberg-Mesner z kartką w ręku

Jestem również bardzo wdzięczna Panu Wołodymirowi Benvyatowi, który wybudował dla nas drogę, abyśmy mogli przyjść tu razem i poświęcić ten kamień ku pamięci zamordowanych ofiar. Chciałabym zacząć od wymienienia niektórych spośród tych, których życie zostało przerwane. Wielu z nich znałam osobiście. Niektórzy chodzili ze mną do szkoły: Sabina Stettner, Dziunka Schwebel, Dziunka Hackmayer, Rózia Wolkowicz, Tonka Meyer. Niektórzy byli członkami mojej rodziny, jak moje kuzynki: Mina Elberger, Pepka, Berta, Lola i Franka Wenkert, moja ciotka Frima Wenkert i mój wujek Jańcio Elberger. Byli wśród nich ludzie, którzy na wiele sposobów służyli naszemu miastu, jak doktor Rozen i architekt Mo-

ryc Schwebel. Byli rzemieślnicy, jak nasz sąsiad, stolarz Holtzman-jak również dekarz, blacharz i dorożkarz, których nazwisk nie pamiętam. Jak każdy, wszyscy ci ludzie mieli nadzieję i marzenia dla siebie i dla swoich dzieci.

Chcę również opowiedzieć Wam o życiu w naszym mieście w czasie, kiedy tu dorastałam. Ludność Zaleszczyk była wtedy niemal równo podzielona na Ukraińców, Polaków i Żydów. Niewiele było kontaktów towarzyskich między Ukraińcami i Polakami, a jeszcze mniej między Żydami i chrześcijanami. Niemniej jednak, wszystkie trzy grupy miały ze sobą wiele wspólnego.

Przede wszystkim wszyscy kochali tę ziemię, na której żyli. Kochaliśmy Dniestr, kwitnące sady, drzewa kasztanowe, żyzną czarną ziemię, cudowne lato pełne muzyki i życia, letników przynoszących miastu względny dobrobyt.

To była ziemia naszych przodków, Ukraińców, Polaków i Żydów, którzy żyli tu od wieków, tutaj pracowali, wytwarzali dobra i tutaj umierali.

Wszyscy ci ludzie, niezależnie od kultury czy religii, dzielili ten sam lęk przed nieznanym i tę samą bezsilność wobec katastrof. Wszyscy wstawali rano z nadzieją na dobry dzień bez nieoczekiwanych tragedii i nieprzyjemnych wydarzeń. Większość ludzi zaczynała dzień od modlitwy. Ukraińcy od „Otcze nasz”, Polacy od „Oj-cze nasz”, Żydzi od „Moidi Ani”. Niektórzy żegnali się trzykrotnie, inni tylko raz, a niektórzy odwracali się w kierunku Jerozolimy, aby modlić się do siły wyższej, którą wszyscy nazywaliśmy bogiem. Wszyscy prosiliśmy o spełnienie naszych życzeń. Prosiliśmy o ochronę od zła i nieszczęścia. Modliliśmy się o dobre zdrowie dla nas i naszych najbliższych. Modliliśmy się o nasz chleb powszedni i o trochę grosza, aby zapewnić dzieciom dobre wykształcenie i bezpieczny zawód. Wszyscy chcieliśmy, aby nasze dzieci miały lepsze życie niż mieli ich rodzice. Te modlitwy, rytuały i praktyki były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Wszyscy razem i każdy z osobna myśleli, że znają właściwy sposób, aby uzyskać uwagę Najwyższego, bo w końcu tylko On mógł nas ochronić.

Mimo różnic w obrządkach i rytuałach, nasze uczucia były takie same. Wszyscy dzieliliśmy radość z okazji narodzin dziecka lub ślubu naszych krewnych i przyjaciół. Wszyscy uctowaliśmy na spotkaniach rodzinnych z okazji różnych świąt. Dzieliliśmy również smutek i żal, które choroba i śmierć nieuchronnie nam przynosiła.

Niestety, życie było i nadal jest pełne nieszczęść i katastrof. Sytuacja Niemiec po I wojnie światowej była katastrofalna. Szalejąca inflacja i bezrobocie stanowiły podatny grunt dla narodzin okrutnego i niszczycielskiego systemu - nazizmu. W trudnych czasach zawsze szuka się kozłów ofiarnych. Najczęściej byli nimi Żydzi. Ofiarami byli niewinni ludzie, którzy nie mogli się bronić – tak jak Żydzi w tym miejscu. Doktryna nazistowska promowała kulturę nienawiści, której rezultatem była brutalność, sadyzm i ohydne zbrodnie przeciw ludzkości. Niektórzy ludzie odnosili korzyści materialne, rabując i okradając tych, którzy byli bezsilni. Korzystali z nieszczęścia innych. Tych, którzy byli humanistami i troszczyli się o los prześladowanych, karano śmiercią. Tutaj, w tej ziemi, pod naszymi stopami, znajdują się prochy ofiar tego monstrualnego systemu.

Chciałabym teraz powiedzieć kilka słów młodym ludziom, którzy są tu dzisiaj z nami. W naszych pięknych Zaleszczykach mieszka dziś nowe pokolenie, bardzo odległe od tamtych okropnych lat. Od was zależy, kogo wybieriecie, aby wami rządził, jakie nowe postępowe prawa zostaną wprowadzone, jaką etyką i moralnością będziecie się zajmować. Wy i Wasze dzieci. Mieliście szczęście urodzić się z dala od okropności i zdeprawowania tamtych wojennych lat. Odeszli niemal wszyscy ludzie, którzy popełniali te zbrodnie i ci, którzy byli ich świadkami. Świat, w którym żyjemy, i przyszłość tej ziemi jest w waszych rękach. To Wy jesteście pokoleniem, które w najbliższej przyszłości będzie decydować, co jest słuszne, co jest humanistyczne i jakie społeczeństwo zbudujecie.

Jestem wam wszystkim bardzo wdzięczna za to, że przyszliście tu dzisiaj, aby potwierdzić nasze wspólne człowieczeństwo i obiecać sobie nawzajem, że wszyscy razem i każdy z osobna będziemy robić wszystko, co w naszej mocy, aby wykorzenić nienawiść i

uprzedzenia w naszych wspólnotach, w naszych miastach i na świecie.

Zapytacie zapewne, jak tego dokonać? Stosując złotą maksymę: traktuj innych tak, jak chciałbyś, aby traktowali ciebie. Ta zasada może być światłem wiodącym was we właściwym kierunku. Niech ten pomnik będzie symbolem, przypomnieniem i obietnicą, że NIGDY WIĘCEJ Zaleszczyki nie będą świadkiem tak straszliwej brutalności”.

Od redakcji: Ponieważ czytelnicy z zamieszczonej w artykule fotografii nie będą w stanie odczytać inskrypcji na pomniku, podajemy ją poniżej w całości. Na pomniku znajduje się ona w językach ukraińskim, angielskim i hebrajskim. Nad nimi widnieje gwiazda Dawida, innych napisów brak:

„In memory of over 800 martyrs of this Town who were murdered by the Nazis on November 14.1941”

W tłumaczeniu: „Ku pamięci 800 męczenników z tego miasta którzy zostali zamordowani przez Nazistów 14 listopada 1941”

Redakcja celowo podkreśliła dwa słowa i bez komentarza daje do oceny czytelnikom czy za kilkanaście lat inskrypcja, analogiczna do inskrypcji z pomnika profesorów ze Wzgórz Wuleckich, będzie dla osób mało bądź wcale nieznaną historią czytelna.

Wanda Butowska
Poznań

Z wizytą na grobie ks. Piotra Struszkiewicza z Przemysłań - w 75 rocznicę śmierci

7 września 2020 w 75 rocznicę śmierci odwiedziliśmy na cmentarzu miłostowskim w Poznaniu grób księdza **Piotra Struszkiewicza**, to postać o której należy pamiętać. O jego historii dowiedzieliśmy się od p. Rafała Ratajczaka, pracownika Wydziału Kultury Urzędu Miasta Poznania.

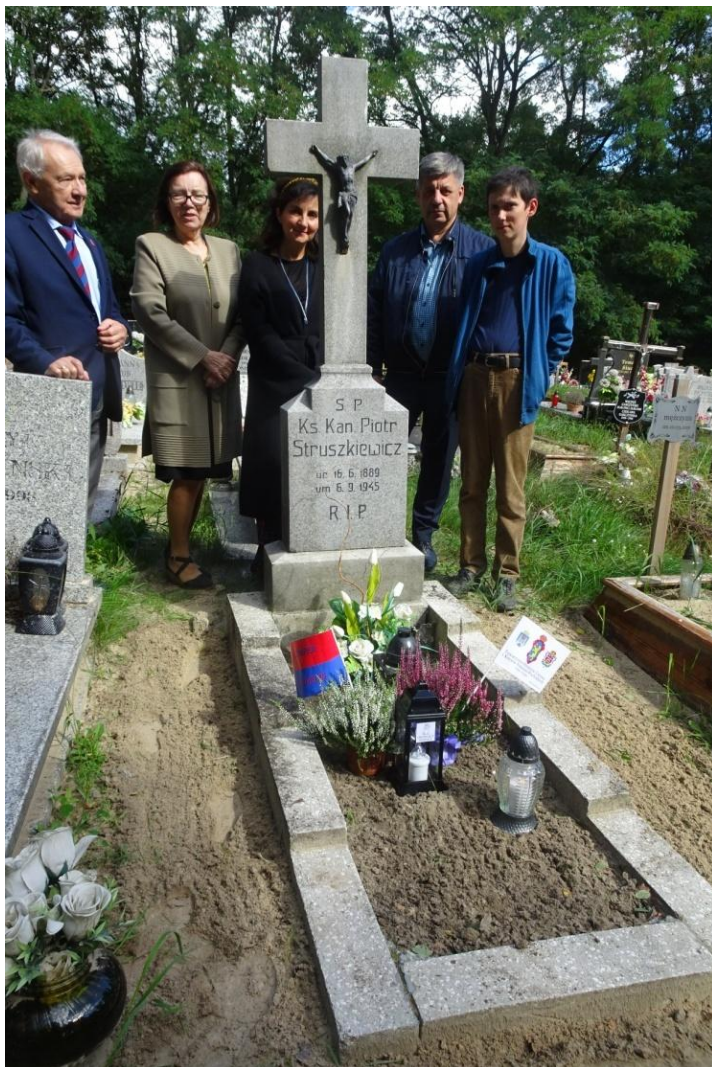


Ksiądz Piotr Struszkiewicz urodził się 16 czerwca 1889 r. Święcenia kapłańskie odebrał 28 października 1911 r. we Lwowie. W latach 1911 - 1913 był wikarym w Tłumaczu (woj. Stanisławów), w latach 1913 - 15 w kościele św. Elżbiety we Lwowie, 1915 - 16 kapelan wojskowy, 1917 - 19 wikary w parafii Kulików k. Żółkwi, 1919 - 23 kanonik w Chlebowicach Wielkich k. Przemyślan, 1923 - 34 proboszcz w Podkamieniu pow. Brody.

Parafię w Przemyślanach objął w 1934 r. Dbał o swoją parafię, o młodzież - pracował w szkołach, był nawet przewodniczącym komisji egzaminacyjnej w tamtejszym gimnazjum. Z jego inicjatywy wyremontowano organy kościelne.

W czasie II wojny światowej wspierał partyzantów żywiąc ich, udzielając informacji i ukrywając broń. Według relacji świadków ks. Struszkiewicz sam był jednym z inicjatorów ich działań. Uważał on bowiem, że Stalin z ZSRR jest największym wrogiem Polski. Był poszukiwany przez NKWD, które to pomimo poznania jego pseudonimu „proboszcz” nie zorientowali się o kogo chodzi. Pod koniec wojny przyjął pod swój dach trzy siostry serafitki, które to bolszewicy wyrzucili z klasztoru/kościół. W Brzeżanach pracowały także siostry służebniczki, które prowadziły sierociniec im. Alfreda Potockiego.

W lipcu 1945 r. pod naciskiem nowych władz ksiądz Struszkiewicz opuścił Przemyślany ostatnim transportem. Przez Przemyśl trafił do Wielkopolski, do serafitek przy kościele św. Rocha. Otrzymał nominację na proboszcza parafii św. Jadwigi w Łodzi koło Stęszewa. Niestety ks. Struszkiewicz nie objął tej parafii, gdyż osłabiony trudami, zmarł na zawał serca 6 września 1945 r. w wieku 56 lat w Poznaniu.



Delegacja poznańskiego oddziału TML na grobie ks. Struszkiewicza, od lewej: Janusz Furmaniuk – wiceprezes oddziału, członek ZG TML, Wanda Butowska – sekretarz oddziału, Katarzyna Kwinecka – prezes oddziału, Rafał Ratajczak - przedstawiciel Urzędu Miasta, Igor Megger - członek zarządu oddziału

Pochowano go na cmentarzu parafii św. Rocha przy ulicy Wiatracznej w Poznaniu. W 1971 r. w związku z budową osiedla Lecha/Czecha oraz trasy katowickiej, zlikwidowano cmentarz, a ks. Struszkiewicza oraz innych tam pochowanych ekshumowano i pochowano na osobnej kwaterze na cmentarzu komunalnym Miłostowo.

Obecnie grób księdza jest zadbane, jednakże jest on nieopłacony i grozi mu likwidacja. Zeszłego roku grobem zainteresowała się parafia w Przemyślanach, na której to stronie opisano sylwetkę księdza wraz ze źródłami oraz zamieszczono zdjęcia grobu. Obecnie nasz tj. poznański oddział TML czyni starania o zachowanie mogiły i o przeniesienie jej w bardziej godne miejsce. Parafia w Przemyślanach jest nam bliska – w czasie dorocznej akcji charytatywnej wiele razy tam byliśmy. Na grób zaprowadził naszą delegację p. Ratajczak. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na chwilę przy grobie Krystyny Feldman.

Osoby pamiętające księdza prosimy o kontakt, gdyż zbieramy o nim materiały - 728-252-793 Igor Megger

Jerzy Pilecki
Głogów

Dzień Pamięci Męczeństwa Kresowian w Głogowie

Moi Drodzy,

Mam zaszczyt przedstawić krótką relację z Obchodów 77 Rocznicy Zbrodni Ludobójstwa na Wołyniu w 1943 roku, którą to Stowarzyszenie Głogowskiej Edukacji Kresowej upamiętniło w dniu 11 lipca 2020 roku oddaniem hołdu pomordowanym, przy pomniku Ofiar Ludobójstwa na Kresach, na cmentarzu w Głogowie.

Na tej uroczystości mieliśmy przyjemność przywitać i wysłuchać Pana Wiktora Chmieluka, pomysłodawcę i współtwórcę pomnika odsłoniętego w 2003 roku po wielu tarapatach i również świadka tamtych tragicznych dni.

Był też Pan Edward Gross, emerytowany nauczyciel, pisarz, autor wielu książek tzw. literatury faktu, która opowiada o wojennych, tragicznych losach Polaków na Kresach. Byli przedstawiciele Towarzystwa Ziemi Głogowskiej.

Prowadzącym uroczystość był oczywiście Jerzy Akielaszek, po przedstawieniu przez Piotra Paliszkiewicza zarysu historycznego tej strasznej tragedii zbrodni ludobójstwa i działań Polski celem upamiętnienia, Jerzy Pilecki zacytował własny wiersz napisany na ten dzień, a TV Master - tradycyjnie utrwaliła na ekranie. A nasz kolega Zdzisław, jak zawsze z pasją przekazał całość w przekazie fotograficznym i filmowym. Po uroczystościach na cmentarzu udaliśmy się do Kościoła pw. Miłosierdzia Bożego w Głogowie na Mszę świętą, którą odprawił Ks. Kanonik Janusz Idzik w intencji pomordowanych na Wołyniu i złożono kwiaty pod tablicą pamiątkową, ku czci 42 Polaków pomordowanych w Skorodyńcach.



Członkowie stowarzyszenia „Głogowska Edukacja Kresowa” po uroczystościach



Uroczyste złożenie wiązanki kwiatów pod pomnikiem

*Igor Megger
Poznań*

Ś.P. prof. Jerzy Wyrozumski 1930-2018



Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że 2018 roku zmarł wybitny polski historyk, badacz średniowiecza, Podolanin Jerzy Wyrozumski.

Jerzy Wyrozumski urodził się 7 marca 1930 roku w Trembowli na Podolu. Swoje życie i pracę naukową związał z Uniwersytetem Jagiellońskim, w którym to przeszedł całą drogę od magistra do profesora. Jako historyk specja-

lizował się w dziejach polskiego średniowiecza i historii miasta Krakowa w wiekach średnich. Zmarły jest autorem kilkunastu książek, w tym bardzo popularnej w czasach PRL „Historii Polski do 1505”. Zmarły był członkiem wielu stowarzyszeń naukowych, w tym był prezesem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. W latach 1981 –1986 dziekan Wydziału Filozoficzno - Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, w latach 1987–1990 prorektor UJ. Odznaczony wieloma medalami w tym Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 2 listopada 2018 roku w Krakowie, pochowany został w nowej Alei Zasłużonych Cmentarza Rakowickiego.

Kilka informacji o kresowej młodości Profesora ukazało się w listopadzie 2018 roku w „Dzienniku Polskim” pt. „Prof. Wyrozumski. Historyk z Kresów, który oddał serce Krakowowi”. Fragment artykułu, dotyczący jego młodości na Kresach, cytujemy poniżej:

Jak opowiada dr Piotr Rabiej w zrealizowanym przez Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego dokumencie „Jerzy Wyrozumski droga przez las”, późniejszy profesor miał zostać... zegarmistrzem. Nawet zaczął uczyć się fachu w szkole przy klasztorze oo. karmelitów. Jednak gdy przyszła wojna, a wraz z nią okupacja sowiecka i niemiecka, z planów rzemieślniczej kariery nic nie zostało. Może tylko pasja do majsterkowania i zaradność, których później zazdrościli mediewiście akademicy koledzy. Gdy wojna dobiegła końca, Wyrozumscy dołączyli do grona repatriantów, ciągnących do Polski zza wschodniej granicy.

W powojennej zawierusze zaginęło m.in. ... imię przyszłego profesora. - Gdy rodzina Wyrozumskich w pośpiechu opuszczała Trembowłę, zabrała ze sobą świadectwo młodego chłopaka, na którym nauczycielka popełniła błąd, wpisując zamiast imienia „Lesław”, które otrzymał na chrzcie, imię „Jerzy” - mówił prof. Krzysztof Stopka we wspomnianym dokumencie. - Po wojnie, kiedy odtwarzano dokumenty Wyrozumskich, właśnie to zawierające błąd świadectwo było jedynym potwierdzeniem tożsamości chłopca.



Prof. Jerzy Wyrozumski przy pracy

*Cezary Żyromski
Wrocław*

Ś.P. Franciszek Paślawski – patriota, architekt, Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata (1922–2019)



Urodził się 30 lipca 1922 roku w Dobrowodach, pow. Podhajce na Podolu. Mieszkał tu z rodzicami i młodszym rodzeństwem. Jego rodzina należała do szlachty zagrodowej.

Szkołę powszechną ukończył w 1936 roku w Monasterzyskach, w roku szkolnym 1938/1939 był uczniem Państwowego Gimnazjum w Buczaczu. We wrześniu 1941 roku został członkiem ZWZ Obwód

Buczacz z siedzibą w Monasterzyskach (ps. „Lew”), a 15 lutego 1942 roku AK, po przeorganizowaniu się ZWZ. W organizacji podziemnej był łącznikiem pomiędzy Komendą Obwodu a plutonami, kompaniami i partyzantką w Kowalówce. Współdziałał w organizowaniu samoobrony w okolicznych miejscowościach w celu chronienia ludności polskiej przed bandami OUN-UPA. Organizował miejsca zakonspirowane do magazynowania żywności, broni, środków opatrunkowych i budowy schronów. W czerwcu 1942 przyjął ps. „Jerzy”. Z polecenia dowództwa Obwodu AK zorganizował nowy pluton w Petlikowcach Starych. W latach 1942–1943 uczył się na tajnych kompletach w Monasterzyskach. W tym samym czasie był uczniem Tajnej Szkoły Oficerskiej w Monasterzyskach, po ukończeniu której dostał nominację na stopień plutonowego podchorążego z obowiązkami adiutanta dowódcy brygady.

W Dobrowodach mieszkało bardzo niewiele Żydów. Inaczej było w Buczaczu, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Jedną z Jego żydowskich koleżanek była Bina Salzman, zaś jej ciotka Regina Zuhler uczyła tam języka niemieckiego.

Po ostatniej akcji likwidacyjnej w getcie w Buczaczu w czerwcu 1943 roku Regina Zuhler oraz jej siostra Mina Salzman z córką Biną przez wiele miesięcy ukrywały się u okolicznych chłopów. Po wkroczeniu Armii Czerwonej 23 marca 1944 roku, tak jak inni pozostali przy życiu Żydzi, wyszły z ukrycia, jednak zakończony powodzeniem niemiecki kontratak spowodował, że ponownie znalazły się w niebezpieczeństwie. Wraz z innymi kobietami miały zostać wywiezione do obozu pracy na terenie Rzeszy. W obawie przed rozpoznaniem uciekły z transportu na stacji Monasterzyska i skierowały się do Dobrowodów, gdyż jedna z kobiet przypomniała sobie o mieszkającym tam znajomym. Franciszek Paślawski przedstawił je rodzinie jako znajome z Buczacza, które utraciły swoje domy w wyniku działań wojennych. Tę samą historię opowiedział sąsiadom. Kobiety, które nie miały żadnych dokumentów, by się nie wyróżniać, ubrane zostały w stroje typowe dla mieszkanki wsi. Tak dotrwały do lipca 1944 roku. Opiekowali się nimi rodzice Paślawskiego, gdyż on sam jako AK-owiec musiał uchodzić z tego terenu

przed grożącymi mu śmiercią Ukraińcami. Znalazł się w Kieleckiem i wstąpił do tamtejszego AK. Przed wyjazdem wyjawiał rodzi-
com tożsamość swoich znajomych.

Regina Zuhler, Mina i Bina Salzman niedługo po wojnie wyjechały z terenów przyłączonych do ZSRR. Mieszkały w Krakowie, gdzie doszło do przypadkowego spotkania z Franciszkiem Paślawskim, potem wyemigrowały do Izraela. Wzajemne kontakty urwały się, aż do połowy lat 60., kiedy to uratowane kobiety odnalazły Polaka. Paślawski odwiedził je w Izraelu w połowie lat 70.

Bina napisała do Yad Vashem i na podstawie jej relacji przeprowadzono odpowiedni proces sprawdzania wiarygodności, a w jego wyniku nadano Franciszkowi Paślawskiemu tytuł i medal Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata, przyznany przez Instytut Yad Vashem 4 marca 1987 roku. Został także honorowym obywatelem Państwa Izrael.

W 2013 roku bohaterstwo Franciszka Paślawskiego zostało uczczone w USA. W Waszyngtonie reprezentował Kanadę i Polskę na otwarciu Muzeum Sprawiedliwych w Waszyngtonie, gdzie zaproszono 4 tysiące osób z całego świata. Spotkał się tam z prezydentem Obamą i byłym prezydentem Clintonem, miał spotkania w szkołach z młodzieżą.

* * *

25 marca 1945 roku Franciszek Paślawski wyjechał do Krakowa. Tu złożył egzamin maturalny, a następnie ukończył architekturę na Politechnice Gdańskiej. Podczas studiów, w 1948 roku, ożenił się. Z tego związku urodziły się trzy córki, mieszkające obecnie w Kanadzie.

Pracował przy odbudowie Gdańska na wielu odpowiedzialnych stanowiskach, w tym naczelnego inżyniera i zastępcy dyrektora Miastoprojektu. Na emeryturę przeszedł w 1986 roku.

Był zawsze ofiarnym społecznikiem – za pracę społeczną otrzymał dwukrotnie wyróżnienie SARP II stopnia. Był Społecznym Inspektorem Zabytków w Gdańsku, a od 31 sierpnia 1980 roku członkiem NSZZ „Solidarność” i założycielem Towarzystwa Przyjaciół Gdańska. Za pracę zawodową i społeczną otrzymał także m.in. Krzyż

Kawalerski OOP, Dyplom Honorowy Pioniera Odbudowy Gdańska, Medal 1000-lecia Miasta Gdańska, Medal Rodła, Krzyż AK oraz Odznakę Pamiątkową Akcji „Burza”, Patent Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny, awans na stopień kapitana.

Od roku 1996 mieszkał pół roku w Kanadzie (Brampton, Ontario) i następne pół roku w Polsce. Był członkiem Oddziału Buczaczy Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich we Wrocławiu. Utrzymywał z krajem regularne kontakty, najczęściej telefoniczne, głównie z prezesem Oddziału Władysławem Szklarzem oraz Zbigniewem Żyromskim, któremu m.in. udzielił wiele szczegółowych informacji do opracowania „Armia Krajowa Obwodu Buczaczy” („Głos Buczaczy” nr 175 i 176). W swoim domu zachował wiele pamiątek z Kresów, a także komplet „Głosu Buczaczy”, w którym znajdują się także Jego publikacje. Część tych dokumentów przekazała do Wrocławia Jego córka Elizabeth Trent.

Zmarł 20 września 2019 roku. Pochowany został 27 września na cmentarzu Meadowvale Cemetery w Brampton.

Sylwetkę opracowano na bazie m.in. „Życiorysów Buczaczy” Władysława Szklarza, Wrocław 2007, oraz „Głosu Buczaczy”.

Film o Franciszku Pasławskim można obejrzeć na internetowej stronie kanadyjskiej: <https://gazetagazeta.com/2019/09/film-o-bohaterze/#prettyPhoto>